# MYŚL NARODOWA

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VII. Nr 17 WARSZAWA, 1 SIERPNIA 1927 R. CENA NUMERU 1 zł.


## O UZGODNIENIE TERENU

REWOLUCJONIZOWANIE świata odbywa się w dalszym ciągu według jakiegoś ogólnego planu, ale rzecz prosta w każdym kraju ma swoje właściwości autonomiczne zależnie od typu miejscowej kultury. Trafnie autor rewelacyj w „*Romana*" (ob. „Głosy" niżej) charakteryzuje odmianę polską, nie daje jednak obrazu specjalnie tych ugrupowań, które wskutek szczególnych okoliczności zajmują się teraz wychowaniem narodu. Przypuszczać należy, że jeżeli nad tym światem rozkładu czuwa duch, dajmy na to, Antychrysta, to napewno uśmiecha się pobłażliwie, patrząc na to, jak chłopięta bawią się w wychowawców. Nie dało się znaleźć lepszego materjału! Los złośliwy zbyt dosadnie zadrwił z cywilizacji, bowiem ten typ niekulturalności zasługiwał na dyskretniejsze miejsce w cieniu, nawet gdyby się historję nanice odwracało.

Do najcenniejszych darów życia politycznego należeć będzie zawsze umiejętność widzenia rzeczy starych całkiem na nowo, patrzenia zaś na rzeczy nowe pod kątem tej refleksji, że jednak mają swój niedzisiejszy początek. W darze tym spoczywa warunek widzenia jasnego rzeczywistości.

To, co się dzieje teraz na świecie, jest nieraz trudne do zrozumienia dla tych wszystkich, którzy przywykli patrzeć na pracę publiczną jako na realizację pewnych idej społecznych czy politycznych—zgodnych z interesem narodu. Trudno wogóle wyrozumieć nowe plany i hasła, bo wymiana pojęć przestała mieć wspólny język interesu narodowego. Zresztą inne pojęcia towarzyszą żargonowi międzynarodowemu, niż mowie płynącej z serca narodu. Nie rozumieją zdarzeń ci, którzy „antropomorficznie" swoich pojęć doszukują się w rzeczniku uniwersalizmu wolności powszechnej, nie mającym w sobie nic z dawnego człowieka narodu.

Jeżeli wykładnikiem życia zbiorowego była zawsze walka, to ona przeniosła się niżej — w podstawy moralne tego, czem już od wieków zatrudnialiśmy głowę, sumienie, ambicję, miecz swój. Zajmowaliśmy się na serjo (może zbyt długo i wyłącznie) polityką, praworządnością, konstytucjonalizmem, parlamentaryzmem. Dla nowego gatunku ludzi, puszczanego na Europę — nie są to rzeczy serjo. Bolszewizm w Rosji był potrzebny „antychrystowi", aby ludzie rozprostowali swoją zwierzęcość. Cokolwiek gdzieindziej ten gatunek dla pozorów, a czasem z przekonania mówi złego o bolszewiźmie, bocząc się na niego politycznie czy obyczajowo, to faktem jest, że istnienie samo i tak bezkarne tego stanu na wschodzie ściąga ten gatunek zewsząd na swój poziom moralny. Ludzie niekulturalni wszystkich krajów złączeni są dziś duchowo z bolszewizmem.

Żałosny więc, a nawet śmieszny bywa widok walk narodu ze szkodnikami wewnętrznymi. Obóz cywilizacji wykonywa dawne ruchy na poziomie państwo obowiązującym, gdy przeciwnik znajduje się tutaj tylko dorywczo, walki nawet nie przyjmuje, a jeszcze mniej ma tu coś od siebie do powiedzenia. Tak się ma rzecz wszędzie, ale gdzie kultura pierwotniejsza, tem jaskrawiej, tem bezceremonjalniej. Sekretem powodzenia jest zdobycie siły według starej szkoły socjalistycznej, a potem — co Bóg da.

Społeczeństwa cywilizowane w Europie chorują na niewspółwierność duchową obozów walczących. Wydobyło się po wojnie z pod spodu barbarzyństwo, które czeka na siłę przeciwnika, nie może zaś przyjąć walki ideowej. Ujawnia się ta niewspółmierność na każdym kroku w zdziwieniu po jednej stronie, a w cynicznym śmiechu po drugiej. Europa cywilizowana nie może się nadziwić, że prawo jest deptane; a znów Azja się śmieje, że ktoś oczekuje walki na gruncie parlamentarnym. To znowu zdziwienie, że złamana zasada demokracji; odpowiada na to śmiechem dyktatura. Na pacyfizm zaprzysiężony cynizm odpowiada sobie militaryzmem.

Podczas gdy jedni, dźwigają ciężar cywilizacji, która gdy się zawali, zgotuje wszystkim grób wspólny, drudzy krzątają się tylko koło tego, aby zawładnąć

siłą faktyczną i z tą cywilizacją się pobawić. Do bolszewizmu ciągnie nałogowe hasło swywolności.

Widocznie Włochy miały najstarsze fundamenty pod swoją kulturą polityczną, bo pierwsze zrozumiały, że na nowy typ dyskusji trzeba wynaleźć nową mowę, właściwie sięgnąć po dawno nie używaną i zaniedbaną. Słabsze organizacje, jak widzieliśmy teraz w Austrji, ani się spostrzegą, kiedy chłopięta wezmą się do podpalania ich pałaców sprawiedliwości. A spostrzec się trudno, gdy naiwność polega na tem, że oczekuje schematycznego powtarzania się wzorów. W Europie patrzą, czy nie powtarza się ściśle program rosyjski, czy jest gotowa doktryna komunizmu i czy ma swego Lenina. Temczasem doktryna i Lenin sam byli raczej przypadkiem. W taki deseń układa się każda ruina cywilizacji. Każde stado zwierząt taką doktrynę wymyśli zostawione sobie, tembardziej więc gdy jest gotowy marxizm. Któż się zresztą w Rosji troska o doktrynę poza garstką fanatyków słowian? Kto się troska o to, żeby hasło Lenina miało w wykonaniu jakiś sens pozytywny? Wszystko się dzieje w sposób naturalny, a sens jakiś wydobywa z tego chyba tylko antychryst.

Jeżeli chodzi o Polskę, to nie można spędzać troski z czoła tą pociechą, że bolszewik, wzięty za miarę, nie pasuje do nas. Nikomu nie zależy na tem, żeby pasował. On będzie inny—i jest inny, ale skutek będzie ten sam. Czyż koniecznie ma leżeć w planie organizacyj tajnych, opiekujących się światem, żeby wszędzie doszło do takiego wyniszczenia jak w Rosji? Wystarczy, żeby w tem miejscu Europy nie było wielkiej Polski, ani warunków psychicznych na podobne aspiracje. Na długo przed wojną ten plan był zakrojony i wykonywany, a teraz niema takich ofiar, którychby ta impreza światowa nie przyobiecała swoim pomocnikom w Polsce, aby ten plan, choć nieco spóźniony, wykonać.

Główne zagadnienie świata cywilizowanego naszych czasów leży w uzgodnieniu z przeciwnikiem terenu i typu walki. Nie można przecież przeciągać na lat dziesiątki zabawy w „ciuciubabkę“ i czekać na przeciwnika tam, gdzie on nie ma zamiaru walki podejmować, lub miotać pociski w pustkę. Gdy podważane są fundamenty moralne życia państw, będących ostoją cywilizacji europejskiej, będą one musiały walkę przenieść na pole obrony dóbr moralnych, obrony samego prawa bytu.

Życie nie czeka na dysertacje naukowe. Instynkt wysunął już na plan pierwszy zagadnienie dobra i zła. Ponieważ zagrożony w podstawach swoich sam byt, więc występuje pierwszy czynny i ochronny pierwiastek cywilizacji-religja. I w tych posadach zło grożące światu musi być poderwane.

Pierwszy podniesie sztandar obrony cywilizacji chrześcijańskiej człowiek religijny w oparciu o Kościół. Staną pod tym sztandarem wszyscy ci, którym dusza jest w stanie dać wyobrażenie, co to za niewymierne dobro jest cywilizacja własna. O nią dziś chodzi, nie o partję, nie o formy rządu, nie o taki czy inny paragraf konstytucji.

Obrony takiej pozycji nie dokonywa się ani z doktryny, ani z rutyny. Potrzebne jest podniesienie tonu całego życia i organizowanie go według hierarchji duchowej właściwej. Mistrzowie taktyki parlamentarnej, doktrynerzy demokracji, technicy oportunizmu politycznego niczego tutaj nie zdziałają. Myśl walki stanąć musi tak wysoko, jak nisko stanęła myśl rozkładu. Biegunowa to walka i zasadnicza.

Świat wyjdzie z chaosu, gdy wszędzie wydobędzie się do steru genjusz narodu i gdy narody staną solidarnie do obrony krewnej sobie cywilizacji. Nie w traktatach znajdą one porozumienie, lecz we wspólnem podniesieniu ducha, który krótko nazwać można po mickiewiczowsku z a p a ł e m dla dobrej sprawy. A Mickiewicz mówił: „Występek najcięższy ludzi starej epoki jest w tem, że to wszystko (co jest zapałem idealistycznym) uznają za bardzo piękne dla poezji, dla sztuki, za godziwe i dobre w chwili boju; ale w rzeczach właśnie najważniejszych, najwięcej stanowczych, największych—w poszukiwaniu prawdy, w filozofji, w prawodawstwie religijnem i politycznem, mają tę iskrę za niepotrzebną, ten płomień za niebezpieczny, skazują zapał na wygnanie ze świątyń modlitwy i z izb prawodawczych.

„Narody niezdolne pielęgnować ognia świętego, rządzą światem. Skoro tylko ogień ten zapłonie we Francji lub Słowiańszczyźnie, potęga tamtych narodów pryśnie“...

„Ten, co nie może już czuć nic wzniosłego, ten niezdolny jest być wolnym. Darmo jego okładać jakiemi chcieć kartami konstytucji, zawsze on będzie niewolnikiem“.

ZYGMUNT WASILEWSKI

# DROGA DO AMERYKI

PRZEZ kilka miesięcy wyczekiwano wiadomości o pożyczce z rosnącą niecierpliwością. Hałaśliwa reklama dzienników, czerpiących wiadomości rzekomo z najlepszego źródła, rozpowszechniła w kraju przekonanie, że żadną miarą nie poradzimy sobie bez pożyczki zagranicznej. Narzucał się raczej wniosek dalej idący. Nie może się odgradzać chińskim murem od świata kraj, zatrzymany w rozwoju przez rządy barbarzyńców, spustoszony przez wojny, rujnowany na kilka nawrotów przez przesilenie finansowe, jeżeli chce wydobyć się z dzisiejszego niedostatku. Jednak takie opinje odzywają się rzadziej, bo jeszcze niedawno rozlegało się hasło o samowystarczalności i bezmiernych bogactwach naturalnych, i to z tych właśnie kół, które obecnie przepowiadają zgubę, gdyby zawiodła pożyczka zagraniczna.

Ostatnie wiadomości i nastroje pobudziły nie jednego z czytelników do zastanowienia, dlaczego tyle narodów białych i kolorowych dochodzi z Ameryką do porozumienia, a tylko z nami kończy się zazwyczaj na zapowiedziach i odroczeniach.

Wiadomo powszechnie, że w Ameryce, opływającej we wszelkie dostatki, odczuwa się nie brak, ale raczej nadmiar kapitałów, że jeśli czego brak Amerykanom, to rynków zbytu dla produkcji, wzrastającej z każdym rokiem i że już z tego powodu w ich interesie leży podtrzymywanie finansowe krajów, które mogą robić większe zakupy, gdy podniesie się u nich

stopa życia. Polska ma ustaloną opinję pod tym względem. Międzynarodowe biuro pracy i konferencja ekonomiczna, niedawno odbyta, rozpowszechniły wiadomość, że w Polsce panuje najniższa stopa życia najniższe płace, że były one dwa razy wyższe i górowały nad krajami bardzo gospodarnemi, gdy nasza waluta stała wysoko.

I. Wymiana handlowa.

Emisja pożyczkowa nie zależy od osobistej życzliwości lub dobrego usposobienia bankierów, lecz polega przedewszystkiem na solidarności między publicznością kupującą pożyczkę, a krajem który ją zaciąga.

Wiadomo, że inne narody trafiają do Amerykanów przedewszystkiem przez wymianę handlową, następnie za pośrednictwem swej kolonji tam osiadłej. Tu odgrywają rolę nie tylko finansowe interesy. Anglicy odwołują się z powodzeniem coraz większem do wspólności krwi i języka, Niemcy do pokrewieństwa germańskiego i solidarności protestanckiej, Francuzi ufali wartościom kulturalnym, a przytem każdy z tych narodów starał się powiększyć swe obroty handlowe z Ameryką.

I choć rozmach Stanów Zjedn. zwraca się głównie w stronę Oceanu Spokojnego i stara się o przewagę w Nowym Świecie, a nawet wchodzi tam w zwyczaj lekceważenie Europy, to przecież w Nowym Yorku, który nadal jest głównym rynkiem amerykańskim, panują bandery narodów europejskich i po staremu W. Brytanja, Niemcy, Francja, Włochy, Niderlandy, Belgja, Hiszpanja są w tej kolei najważniejszymi odbiorcami towarów ze Stanów Zjedn.

Wpływ tych narodów jest tam niewątpliwie największy, co się objawia zarówno we wzajemnych zakupach amerykańskich, w kredytach handlowych, w pożyczkach państwowych i komunalnych i w wielu innych dowodach solidarności. Wynikałoby z tego, że dostęp do umysłów i serc amerykańskich prowadzi dwiema drogami morskiemi, które znają dobrze żeglarze, jadący do portu nowojorskiego i stamtąd wracający do Europy innym szlakiem.

Mniejsze lub mniej bogate kraje idą w ślady tamtych potencji morskich. Uderzające jest, że nawet dwa kraje kontynentalne, Szwajcarja i Czechy dochodzą do wymiany handlowej z Amerykanami na dziesiątki miljonów dolarów rocznie.

Polska niewiele ma do sprzedania w Ameryce, to też trudno mówić o wymianie handlowej.

Położenie nasze nie jest zresztą oryginalne. Stany Zjedn. są tak sowicie zaopatrzone przez Opatrzność w surowce przemysłowe i wszystkie płody ziemi, potrzebne do życia, że niewiele obcych artykułów jest im niezbędnie potrzebne. To też tylko w krajach tropikalnych dokładają starań o nabycie takich artykułów, jak kauczuk lub kawa, a pozatem przyjmują obce towary od klijenteli europejskiej, żeby znaleść pokrycie za swoje dostawy. Więc oprócz artykułów cenionej marki dochodzą do Ameryki drogą wzajemności jeszcze inne wyroby europejskie, których produkcja wypadłaby tam drożej z powodu wysokich kosztów robocizny.

Doraźna zmiana tego niekorzystnego stosunku jest tem trudniejsza, że największe bogactwa Polski nie przedstawiają dla Ameryki prawie żadnego interesu. Nasza produkcja węgla, dochodząc miesięcznie do 3 miljonów tonn, a nawet przekraczając tę skalę w chwilach pomyślności, zajmuje czwarte miejsce w Europie i piąte miejsce w świecie. Polski eksport węgla zajmuje nawet czwarte miejsce w handlu światowym. Ale i ta pozycja węglowa, okazała na rynku europejskim, wygląda skromnie wobec Stanów Zjedn., gdzie produkcja węgla dochodzi od 40 do 60 miljónów tonn miesięcznie, obliczona jest zresztą na konsumcję amerykańską i nie interesuje się wcale rynkiem europejskim. To samo odnosi się do innych surowców polskich, mimo że na rynku europejskim odgrywają one pokaźną rolę. Wywóz z Polski do Stanów Zjedn. był i jest drobną pozycją statystyczną (9 miljonów złotych rocznie) i nie widać go ani w Gdańsku, ani tem mniej na rynku amerykańskim.

Daleko okazalej wyglądają zakupy polskie w Stanach Zjedn., przynajmniej w polskiej statystyce urzędowej. W ostatnich czterech latach 1923—6 wynosiła ich wartość sumę 830 miljonów złotych w złocie, co daje przeciętną na rok 207 miijonów naszej złotej waluty, czy okrągło 40 miljonów dolarów. Byłoby to mniej niż 1% światowego eksportu Stanów, który dochodzi obecnie do 5 miljardów dolarów i równałoby się dziesiątej części zakupów, które robią w Ameryce Niemcy; w każdym razie pozycja nie byłaby zawstydzająca, gdyż jest w Europie tylko 10 krajów, których zakupy amerykańskie są wyższe.

Niestety, nie widać takich dostaw amerykańskich w porcie gdańskim, ani też Amerykanie nie wiedzą, że mają w Polsce tak poważnego klijenta. Eksport do Polski wedle ich statystyki urzędowej wahał się od 6 do 12 miljonów dolarów rocznie, z czego wynika, że ledwie czwartą część zapotrzebowania sprowadzali importerzy polscy wprost z Ameryki, zaś trzy czwarte artykułów amerykańskich kupowali w Europie, najczęściej w Niemczech. Ten stan poprawił się nieco w dwu latach ostatnich, jednak w dalszym ciągu bezpośredni handel między Ameryką a Polską nie odgrywa pokaźnej roli i niema nawet o nim wzmianki w sumarycznych zestawieniach handlu amerykańskiego tam, gdzie się wymienia tylko kraje ważniejsze. To też na rynku amerykańskim przemysł polski jest mało znany i jako dostawca i jako nabywca, żegluga amerykańska przestała interesować się Gdańskiem, i w rezultacie najtańszą drogą do kupienia lub sprzedania towaru w Ameryce jest port niemiecki, adresem zaś najlepiej znanym jest po staremu skład hurtowny w Berlinie lub Hamburgu.

Nic dziwnego, że stosunki Polski z Ameryką nie tylko nie są na dobrej drodze, ale przeciwnie pogorszyły się one od r. 1921, kiedy flagę amerykańską widywało się często na wodach gdańskich, kiedy Amerykanie oglądali się na klijentelę polską i nie byli u nas rzadkimi gośćmi.

Co prawda nasze stosunki zagraniczne są dopiero na początku rozwoju. Suma okrągła 1 i pół miliarda w złocie, do której dochodzi nasz eksport, suma nie wiele większa od 1 miljarda, do jakiej może dochodzić nasz import przy obecnem ubóstwie, nie jest imponująca w stosunku do zasobów materialnych kraju i wygląda skromnie w porównaniu z naszymi konkurentami. Wedle rozmiarów handlu tegorocznego należy Polska do 11 mniejszych krajów Europy, zaś 10 innych państw odgrywa w obrocie międzynarodowym rolę znacznie okazalszą, taksamo obecnie jak w latach poprzednich. Do krajów większych od Polski na miarę handlową należą Czechy, Szwajcarja, Szwecja, Danja i nawet dzisiejsza Austrja. To też potęgi finansowe mają skłonność do spoglądania na nas z podobnej wysokości, jak na mniejsze kraje europejskie i niewielka w tem pociecha, że wielkie i sławne narody Europy nie zawsze spotykają się w Nowym Jorku z przyjaznem przyjęciem i z szacunkiem należnym ich świetności starożytnej.

Inne narody europejskie są reprezentowane w Stanach Zjedn. przedewszystkiem przez swoje okręty

które podtrzymują zaufanie i życzliwość do swej flagi, zarówno w kolonjach swego rodu, jak w całym świecie handlującym. Ten najskuteczniejszy środek jest jest dotąd dla nas niedostępny, mimo że mamy w Ameryce rozleglejsze i poważniejsze interesy, niż niektóre narody morskie. Z drugiej strony żegluga amerykańska nie szuka dostępu do Polski, bo tutejsi nabywcy głównego masowego artykułu, t. j. bawełny szukają jej najczęściej w Niemczech a rzadko w Ameryce. Dwa okręty duńskie, dojeżdżające zarówno do Gdańska jak do Nowego Jorku, interesują się przewozem podróżnych i nie oglądają się na frachty. Pozatem nie mamy z Ameryką innej komunikacji bezpośredniej, a ponieważ granica amerykańska jest dla naszej emigracji skutecznie zamknięta, więc z każdym rokiem Ameryka dla Polski i nawzajem staje się krajem coraz więcej egzotycznym.

Więc po ludzku zrozumiałe jest, że niektóre podróże między Polską a Ameryką przypominały mityczną wyprawę Argonautów po złote runo.

Z rezultatów okazało się, że w Ameryce niema Sezamów otwierających się na czarujące zaklęcie, że także Warszawa nie jest miejscem tak romantycznem, jak się pozornie mogło wydawać, więc wypada szukać dalej innej drogi do Ameryki, unikając świata czarów i cudów.

II. Kolonja polska.

Niedawno zajmowała się prasa polsko-amerykańska pytaniem dość oryginalnem, co zrobią tamtejsi Polacy na wypadek wojny między Polską a Stanami Zjedn. Odpowiedź wypadła tak: zatarg bezpośredni jest nie do pomyślenia, ale gdyby Polska przyłączyła się do koalicji europejskiej przeciw Ameryce, wtedy Amerykanie polscy spełnią oczywiście swój obowiązek wobec nowej ojczyzny. (Kwartalnik Inst. emigr. i kolonizacji, Nr. 2, str. 58).

Wiedzieliśmy, że nasz kontakt z Ameryką jest dorywczy i nieskuteczny. Dowiadujemy się z takich przykładów, do jakiego stopnia brak komunikacji przedłuża odległość kolonij tamtejszych i od Polski i od Europy. Reprezentanci opinji wyobrażają sobie, że ktoś w Europie (poza bolszewikami) wdawałby się w zatargi zbrojne z Ameryką i że Polska obok innych Stanów europejskich wzięłaby udział w takiej wojnie.

Przejdźmy jednak do pocieszającej strony obrazu, do ogromnego dorobku amerykańskiego, do którego przyczyniło się nasze wychodztwo i w nim uczestniczy coraz więcej. W r. 1890 dochodziło ono do miljona głów i składało się w $^1/_5$ z Krakowiaków i Mazurów, w $^4/_5$ z Wielkopolan. Wychodztwo z Poznańskiego, Pomorza polskiego i Górnego Śląska dochodziło właśnie do mety i wkrótce ustało. Wedle statystyki urzędowej niemieckiej wynosiło ono sumę 450 tysięcy głów od r. 1871 do 1890; nadto wzięli Polacy wysoki udział w wychodztwie niejawnem i nielegalnem, które w tych latach przekroczyło sumę 327 tys. Doliczając emigrację z lat 1848—1871, oraz przyrost naturalny, dojdziemy do sumy około 800 tys. Polaków z zaboru pruskiego, osiadłych w Stanach Zjedn. w r. 1890. Wraz z wychodztwem krakowskiem i zaczynającem się właśnie mazowieckiem stanowiły kolonje polskie w tym roku w każdym razie nie mniej niż $1^1/_2$ procent całej ludności Stanów Zjedn.

Gdy emigracja polska zaczynała płynąć do Ameryki, było tylko 30 Stanów i ludność ich wynosiła 33 miljonów. Kraje objęte kolonizacją dochodziły do połowy dzisiejszego obszaru Unji, reszta była pustkowiem, które zajmowali Indjanie. To też Polacy wzięli udział w kolonizacji Zachodu amerykańskiego w miarę napływu emigracji. Po r. 1850 przybyło 18 nowych Stanów. W r. 1890 ludność całej Unji wynosiła 63 miljony, a kolonizacja Zachodu była jeszcze daleko od końca.

Od połowy XIX wieku aż do wybuchu wielkiej wojny płynęła emigracja polska nieprzerwanym prawie strumieniem, zjawiła się dość wcześnie, żeby wziąć pokaźny udział w pierwotnej kolonizacji dużego obszaru Ameryki i w tworzeniu narodu amerykańskiego. Tę prawdę należy podkreślać tem mocniej, że obecna polityka, ulegając widocznie wpływom niemieckim, traktuje całą kolonję polską, jako Amerykanów najświeższej daty. Z tego tytułu ustanowiono prawo imigracyjne na naszą niekorzyść, a nawet wbrew temu prawu obliczono kontyngent polski wedle statystyki dowolnej i widocznie fałszywej a w rezultacie dalszy dostęp do Stanów jest zamknięty dla Polaków.

Na szczęście żywioł polski nie jest surowym materjałem potęgi amerykańskiej. Znalazłszy się tam w okazałej liczbie, rozrasta się znacznie szybciej od innych i dorobek jego jest z każdym rokiem coraz większy.

W r. 1890 szacowano majątek narodowy Stanów na 65 miljardów, w r. 1922 na 321, z czego na bogactwa przynoszące dochód przypada 300 miljardów dolarów. Ten szacunek nie wydaje się zbyt śmiałym, zważywszy że w przemyśle przerabiającym, inwestycje kapitału wynosiły w r. 1919 sumę 44 miljardów, że wartość produkcji rocznej tych gałęzi przemysłu wynosi 60 miljardów. Zarobki robotnicze w tym przemyśle (*manufactures*) przekraczają sumę 11 miljardów dolarów, a dotyczą one tylko $^1/_8$ całej masy pracowników.

To też zrozumiałe jest, że nietylko zyski przedsiębiorców, ale i oszczędności klasy robotniczej, już uskładane i dalej kapitalizowane, liczą się na dziesiątki miljardów. Kasy oszczędności przechowywały w r. 1924 sumę 21 miljardów wkładek, przypadającą na 39 miljonów osób oszczędzających. Jaka część z tego może przypadać na Polaków, tego dotąd nie obliczano. Wiadomo tylko, że kolonje wielkopolskie, dawniej osiadłe, składają się prawie w całości z osób urodzonych w Ameryce lub tam wychowanych od dzieciństwa, że duża część Wielkopolan to nawet trzecie pokolenie, uznawane przez prawo i zwyczaj za rodowitych Amerykanów. Wielkopolanie wraz z Pomorzanami i Ślązakami stanowią siłę $1^1/_2$ miljona głów, czyli niespełna $1^1/_2$ procent całej ludności Stanów z r. 1920. Zarobki i oszczędności Wielkopolan nie są napewno niższe od miary przeciętnej. Pozatem 2 miljony ludzi z górą wynosiło wychodźctwo z Małopolski i Mazowsza z doliczeniem pokolenia urodzonego w Ameryce. Żydzi, Rusini i Niemcy, którzy opuścili Polskę, nie wchodzą tu w rachubę. Zarobki tej drugiej grupy polskiej są niższe od przeciętnych, a oszczędności były uszczuplane hojnemi darami, które przekazywano dla krewnych do Polski. Wynoszą one zatem prawdopodobnie mniej niż kapitały Wielkopolan. Choć ta druga grupa tworzyła w r. 1920 prawie 2% ludu amerykańskiego można z ostrożności przyjąć, że jej zarobki i oszczędności wynoszą w każdym razie 1% sumy ogólnej. Zatem z ogólnej sumy oszczędności klasy pracującej przypadałoby na wychodztwo nowszej daty około 200 milonów, zaś na wychodztwo wielkopolskie około 300 miljonów dolarów gotówki. Nie bierzemy przytem pod uwagę powszechnego spostrzeżenia, że Polacy tamtejsi, zarabiając mniej, oszczędzają stosunkowo więcej od innych Amerykanów.

Jest to tylko część dorobku klasy robotniczej, gdyż sumy kapitalizowane w towarzystwach asekuracyjnych są dwa razy większe.

III. Widoki na przyszłość.

Nawet z naszego teoretycznego oszacowania wynikają pewne wnioski praktyczne. Niepodobna w zabiegach kredytowych oglądać się zbytnio na oszczędności tamtejszej zorganizowanej kolonji, gdzie główną masą są nowsze i uboższe zaciągi naszego wychodztwa. Natomiast emisja polska nie byłaby losowym interesem, zależnym od zmiennych nastrojów rynku pieniężnego, gdyby opierała się na zaufaniu wszystkich grup polskich, nie tylko tych, które są najliczniejsze, zorganizowane i łatwo dostępne.

Kolonje polskie są dopiero na początku rozwoju i to pod każdym względem. Ostatnia duża fala emigracji żyje już od 13 lat na gruncie amerykańskim, to też wszyscy prawie Polacy mieli dość czasu do poznania kraju i języka krajowego i nie muszą się zadowalać najcięższą pracą, najgorzej wynagradzaną. A różnice między zarobkami są w Ameryce znacznie większe niż w Europie. Zarobek normalny dorosłego mężczyzny bez szczególnych kwalifikacyj waha się obecnie od 2 do 5 dol., ale jest to skala przeciętna i nie daje ona wyobrażenia o rzeczywistej nierówności w zarobkach klasy robotniczej.

Pozatem podniosły się one na całej linji od czasu ograniczenia imigracji, a tymczasem koszty utrzymania opadają z roku na rok, gdyż w miarę doskonalenia techniki i nadmiaru produkcji tanieją towary. To też właśnie w ostatnich latach wzrastają szybko oszczędności robotnicze, a Polacy, którzy w gorszych warunkach oszczędzali więcej od innych, nie zostali oczywiście na szarym końcu w obecnej konjunkturze. Te znacznie polepszone warunki dorobku są wystarczającem wyjaśnieniem, dlaczego Polacy nie kwapią się do powrotu do Ojczyzny, a nawet wróciła do Ameryki znaczna część reemigracji z lat 1920—3. Skromniejszą rolę odegrały tu nasze przesilenia finansowe i szkody, wyrządzone u nas w kraju wracającym Amerykanom, choć te straty wypominane są głośno i nie bez intencji.

Wychodztwo polskie nie jest w całości proletarjackie, a parafje i korporacje polskie w Chicago dają o jego składzie wyobrażenie jednostronne. Rozmiary i ruchliwość kolonij zorganizowanych zasłoniła nam oczy na dawniejsze zaciągi wychodztwa, złożone głównie z Wielkopolan i Ślązaków, które jeszcze przed laty w epoce kolonizacji Zachodu rozprószyły się po Ameryce. Ale nawet z kolonij świeżego zaciągu dochodzą coraz częściej skargi, że nowe pokolenia, urodzone w Ameryce, odpadają od nich stopniowo, zjawisko zrozumiałe, gdyż niezdolność chłopa polskiego do samodzielnego obracania się w tym obcym świecie była motywem, zniewalającym do łączenia się w gromadę polską. Co gorzej, w wielu wypadkach motyw pierwotny stał się jakgdyby cechą stałą niektórych towarzystw, a że takie wypadki są dość liczne, świadczy fakt, że na 1 miljon osób dorosłych i urodzonych w Polsce tylko czwarta część postarała się o obywatelstwo amerykańskie, reszta zaś uprawia abstynencję. Więc nic dziwnego, że młodzież i ludzie ambitni odrywają się od kolonij tam, gdzie one mają charakter abstynencki. Również władze amerykańskie zwracają uwagę na to zjawisko, które zniechęca jednych, a drugim daje broń w rękę przeciw imigracji polskiej. Może nasze kolonje spostrzegą się dość wcześnie, że abstynencja od praw i obowiązków obywatelskich może doprowadzić do prohibicji.

Jest to słaba strona wielu tamtejszych organizacyj polskich i bije ona w oczy nawet na daleką odległość. A jeżeli weźmiemy pod uwagę, że tamtejsze organizacje polskie nie mają w ewidencji paruset tysięcy Polaków, którzy przy spisie urzędowym przyznali się do pochodzenia polskiego, że nie mają pozytywnej wiadomości o miljonie Wielkopolan, urodzonych w Ameryce i rozprószonych, jest zdaje się widoczne, że oprócz istniejących organizacyj opartych na parafjach, potrzebne są nowe środki dla kontaktu z tą zapomnianą resztą wychodztwa, która wynosi sumę około $1^1/_2$ miljona ludzi. W przeciwnym razie kolonje, nie odnawiane świeżym dopływem z Polski, topniałyby z biegiem lat i wiele z nich nie przeżyłoby swoich dzisiejszych przedstawicieli.

Polityka warstwy panującej zmieniła się radykalnie od r. 1921. Jest ona nastrojona nieufnością do całej ludności katolickiej i nie dąży już do szybkiego wchłaniania tych grup narodowych, które nie są ani germańskie ani protestanckie. Dzięki temu dowie się o swej odrębności narodowej wielu Polaków, którzy są na drodze do zupełnej amerykanizacji. Tem większą rolę zacznie odgrywać odrębność naturalna. Już obecnie stanowią nowe pokolenia Polaków dużą masę w porównaniu z imigracją pierwotną i ten stosunek będzie się zmieniał z każdym rokiem, gdyż duże koła ludności amerykańskiej wyzbywają się instynktu naturalnego i przerzedzają się dość widocznie.

Obecnie odnawiają się kolonje polskie tylko przez przyrost naturalny, ich siła konkurencyjna jest temsamem znacznie większa, istnieje opieka Państwa Polskiego, a słabną dawne atrakcje do szybkiej asymilacji. Są to zupełnie nowe warunki rozwoju, z któremi powinny się liczyć tamtejsze organizacje polskie. Niema dotąd nowego programu w tych sprawach. To też komunikacja między Polską a Ameryką jest kwestją otwartą.

BOLESŁAW BATOR

# KRWAWO I ŁOJNO

BYŁO kiedyś w Polsce, za czasów Norwida, jak on to określił, laurowo i ciemno. Weszło to nawet w przysłowie. A dzisiaj w Polsce, za czasów „Skamandra", jest krwawo i łojno. I to wejdzie w przysłowie. Oba te powiedzenia stosują się do ducha poezji, w danym czasie panującej. Żyjemy obecnie, w sferze zepsutej inteligencji naszej, pod panowaniem poezji kryptożydowskiej. Zaraz tu rozwinę dowód, że słowa „krwawo i łojno" należą do jej rodowej i herbowej pieczęci.

Już parokrotnie charakteryzowałem na tem miejscu poezję kryptożydowską, ostatnio w szkicu p. t. „Poezja kryptożydowska" w zeszycie M N. z dnia 15 grudnia 1926 roku, a więc pół roku temu. Nie znałem wówczas ostatniego w czasie tomu poezyj p. J. Tuwima p. t. „Słowa we krwi". Obecnie wpadł mi w rękę ten tomik. Przeczytałem go i podziwiałem matematyczną zgodność jego z podaną przeze mnie przed pół rokiem charakterystyką.

Czytelnik rozumie, że podziwiałem nie swoją trafność, lecz cudownie pewne prawa przyrody. To, co ja wtedy uczyniłem, uczyniłby każdy, ktoby się zabrał do studjowania omawianej poezji. Miałem przed sobą kilkanaście motylków, opisałem szczególne ich właściwości i zaliczyłem je do jednego gatunku. Robota najłatwiejsza w świecie. Lecz oto naszpilam

jeszcze jednego motylka. Wszystkie cechy te same. A że już zgóry znałem jego gatunek, więc podziwiałem tylko wagę i powagę praw przyrodzonych.

W mniemaniu zwolenników poezji kryptożydowskiej p. J. Tuwim jest Goethem ghetta warszawskiego. To znaczy, że jest tej poezji tuwinem. Tuwin w żargonie jest rzeczownikiem pospolitym i oznacza urząd kahalny, mianowicie przedstawiciela kahału. Skoro więc p. J. Tuwim jest tuwimem poezji kryptożydowskiej, nadaje się najlepiej na preparat do studjum psychologicznego. Wystarczy nam tu nawet nie cały tuwim ale jeden jego tom najnowszy.

Krwawo, łojno i politycznie — oto trzy zasadnicze struny tuwimowej liry. Politycznie, to znaczy — z polityką, zresztą, zgruntu kabaretową. Głównym jej przedmiotem jest rewolucja społeczna i nienawiść do mieszczaństwa polskiego. Najdosadniej mówi o tem wierszyk p. t. „*Quatorze juillet*", którego trzy pierwsze zwrotki idą, jak następuje:

„Już jest gotów. Nosi strój odświętny:
Żółte buty, frak naftalinowy,
Krawat lila, połkoszulek zmięty
I błyszczący kołnierzyk gumowy.

W mętnem lustrze z ramą pozłacaną
Widzi pysk spasiony, tłustą szyję.
„Polsko", szepce, „łojczyzno kochano!
I ty Francjo — oto jezdem — niech żyje!"

„JEGO święto dzisiaj, w tę rocznicę
Czarnych tłumów, krwi, szału, wściekłości,
Kanonady, co prażyła ulice
W burzy słodkiej francuskiej wolności!"

Rzeźnik jest tu symbolem mieszczaństwa polskiego. Zauważmy mimochodem, że bramy Bastylji nie kto inny rozbijał, jeno właśnie rzeźnicy — i to cecnowi..., że rewolucja ta — to rewolucja mieszczaństwa, że więc jest to istotnie „JEGO" święto dzisiaj, choć przez Francję „drugą jego łojczyznę" ustanowione. Mała dowolność poetycka... Przypuśćmy jednak, że chodzi tu tylko o robienie rewolucji i o wzbudzenie takiej do mieszczaństwa polskiego nienawiści, jaką pała sam autor. Godzi się wtedy zapytać, w imię jakiej idei, jakiego ducha, jakiej kultury, czyli w imię jakiej ojczyzny poetyckiej przemawia tu poeta? Wierszyk ten, choć w stylu kabaretowym, upoważnia do nadziei, że nie w imię innej „łojczyzny" łojowo-rzeźnickiej... Na pytanie odpowiada sam poeta w wielu miejscach tomu, a przedewszystkiem w hymnie p. t. „Przemiany". Hymn ten musimy przeczytać w całości. Jest on bardzo podobny do dytyrambu p. Wata p. t. „Płodność".

„Wielka jesteś, jara ziemio, ale mi ciebie mało!
Dla mojej miłości wściekłej
Jeszcze powinnaś być większa!
Jeszcze by się — o, wrząca i żywa! — przydało
Napakować jakich drożdży do twego wnętrza!

Żebyś nabrzmiała nową, płodną siłą,
Żeby drzewa jak słonie rosły,
Żeby gęstą żywicą z głębi tryskało i biło,
Żeby dzwonami dzwonił zielony bulgot wiosny!

Żeby pędziły do góry słodkie twoje tłustości,
Karmione wrzątkiem żaru, mlecznym słońca udojem,
Żeby rżyska skwierczały w gorącej opłwitości,
Żeby, za kłosem tęskniąc, białawym pławiły się łojem!

Nuże, kwiaty — lepkie i mięsiste,
Pęczniejące, wygięte znacząco,
Kwiaty, wonią zbarwioną wytrysłe
W waniljowe, korzenne gorąco!

Nuże, ciepło — głębokie, pełne,
Pod zielenią jaskrawo-trawiastą!
Jarz się, niebo gęste, olejne,
Smarowane światłem jak omastą!

Deszcze świeże, szumne ulewy,
Niech was żłopie kochanka zgrzana!
Ziarna zwierzętami wyskoczcie z gleby!
Z brzóz niech cieknie strumieniami śmietana!

A ty, bujna. gorąca i mleczna,
Ty, wypierśna, młoda i soczysta,
Babo wieczna, babo rozłożysta,
O, radości nieskończonej zdroje:
Łonu twemu — soki moje,
Dziecku memu — mleko twoje!"

Jest rzeczą całkowicie pewną, że ten hymn na cześć miłości i przyrody pisał rzeźnik, i to rzeźnik nie polski, nie aryjski wogóle, ale rzeźnik żydowski. Oceńmy jego porównania, przenośnie, pochwały. Przyroda — baba rozłożysta, oskoła — śmietana, niebo— gęste, olejne, z omastą, rżyska pławią się łojem — i tak dalej. Co to za wyobraźnia? Jaki duch, jaka kultura?

Tomik „Słowa we krwi" cały jest taki łojny i krwawy. „Głowy, ostrym tasakiem słońca rozpłatane"; „Słowem do krwi jak tasakiem w głowę!" „W niebie szaleją mściwe ręce" (Jehowy) — i t. d.. wszędzie łój, krew i tasak — te trzy godła rzeźnickie. Słusznie p. Tuwim odmawia rzeźnikowi polskiemu prawa świętowania dnia Bastylji, a natomiast przyznaje je sobie. Niejeden rzeźnik polski może być głupią i opasłą figurą, ale ma obecnie jaśniejszą od tuwinów wyobraźnię, lepiej zna pazyrodę i — nadewszystko nie pisuje wierszydeł...

Wiemy już teraz, jaka-to narodowo-zawodowa nienawiść podyktowała p. Jojnemu Tuwimowi jego „*Quatorze juillet*". W teozofji politycznej tego futurysty, reklamą żydowską i głupotą polską rozsławionego, nie mniej rzezackie w grafomańskim stylu podane znajdują się wciąż zwrotki, nawrotki i kołowrotki. Oto przykład jeden z wielu:

„Forteca wokół globu! Dosyć, dosyć nieba!
Bóg zazdrosny szturmuje do naszych serc!
Zamanić Go i ściągnąć trzeba,
Niech się On teraz miota śród gorejących twierdz!"

Wiersz ten żywo przypomina Rozbickich różnych, rozbitków sztuki, jakich każde niemal pokolenie zna i nimi się bawi. Przytoczę tu czterowiersz z dużego poematu niejakiego p. J. Bełcikowskiego:

„Gwiazdy w sztyletach,
Słońce w bagnetach,
Niebo w armatach,
Cały świat w plakatach..."

Albo zwrotkę z makabrycznego „Tańca szkieletów" p. Wacława Wolskiego:

„Podrzuć panna piszczel w górę,
Kiedyś młoda, tańcz-że, z werwą!
(Wszystko to jest tylko ścierwo...)
Zacznijmy inną figurę."

Przypomnijmy też całe poematy żydowskiego zwiastuna skamandrylnej poezji, niejakiego p. Napoleona Hirszbanda (Cezarego Jellenty) — „Nurty" i Kraswa". Dalszym ciągiem tych trzech biedaków jest p. J. Tuwim. Dlaczegoż tamci byli zapoznani? Brakło im reklamy i... pleców mafji politycznej. A teraz już zapóźno. Zastąpili ich panowie: Tuwim, Wat, Wittlin, Stern, Słonimski — wszyscy jednako makabryczni, nekroforyczni, krwawi i łojni.

Bóg p. Tuwima równie, jak jego świat i przyroda, jest pojęty w sposób czysto żydowski. Poeta innych określeń Boga nie zna, tylko gniew, zemsta i t. d. „W niebie szaleją mściwe ręce", „Lecz wieczorem, gdy gwiazdami Bóg na niebie się rozpina, I złotemi ich ćwiekami wali w świat, jak kamieniami". „Hej! Ty, co wznieść potrafisz w górę na tortury, Na krzyż, co, w ziemię wbity, męką w niebo wrósł, Z ulic skołowaciałych wyrzuć mnie do góry, By mnie nocą stratował Twój gwiaździsty wóz" i t. d.

Rzecz to niezmiernie ciekawa, że kilka tysięcy lat cywilizacji przeszło nad umysłowością żydowską

i ani jednym promieniem jej nie przeniknęło... Duch żydowski jak był krwawym, mściwym i ciemnym dzikusem, tak nim do dzisiejszego dnia pozostał. Nawet niejeden bóg murzyński posiada więcej powagi, dostojności, spokoju, rozumienia i wyrozumienia, niż ów ciskający kamieniami, wiecznie wściekły, zemstą dyszący, z oczami krwią nabiegłemi i z wargą obwisłą bolszewicki bóg poezji kryptożydowskiej.

Smutne to i haniebne dla obecnego pokolenia inteligencji polskiej zjawisko, że tuwimowie tej poezji bez protestu ze strony społeczeństwa polskiego, na różnych obchodach, przyjęciach, uroczystościach w kraju i zagranicą występuja wyfraczeni w roli przedstawicieli poezji, literatury, umysłowości narodu polskiego. Ostatnio, na obchodach przy sprowadzeniu zwłok Słowackiego, oni także na widnych miejscach byli obecni, „reprezentowali" łojnemi „pyskami" ducha narodu polskiego, oddającego hołd wielkiemu swemu, czystemu i górnemu poecie. Najwyszukańsza, najbrudniejsza w cynizmie swym złośliwość nie mogła pamięci bohaterskiego poety większego afrontu nad Wisłą wyrządzić...

P. Tuwim pochodzi ze szlachty kahalnej (morejnów). Po mieczu (że tak powiem) wywodzi się z rodu tuwimów, co samo nazwisko wskazuje. W galerji swoich antenatów ma niewątpliwie rzezaków, mogelimów i pereusów (którzy zarzynają przy obrzezaniu). Wszystko — szlachta żydowska, godne i wysokie urzędy. Gdy weźmiemy to pod uwagę, wtedy nietylko krwawość i łojność p. J. Tuwima, ale i jego swoisty takt artystyczny zrozumiemy, jako rasową i rodową poety konieczność. Zamiast polskich wyrażeń „po mieczu i po kądzieli" należy w stosunku do rodowodów tej poezji mówić: „po tasaku i po mikwie"

Mogelimowy takt artystyczny i towarzyski można w poezji kryptożydowskiej wykazać setkami przykładów, co już niejednokrotnie czyniłem. Z omawianego tu tomu „słowa we krwi" przytoczę dwa. W wierszu p. t. „Pogrzeb prezydenta Narutowicza" takiemi słowy zwraca się do polskiego obozu narodowego: „Krzyż mieliście na piersi, a brauning w kieszeni. Z Bogiem byli w sojuszu, a z mordercą w pakcie, Wy, w chichocie zastygli, bladzi, przestraszeni, Chodźcie, głupcy, do okien—i patrzcie! i patrzcie!" Poczem jeszcze dorzuca pod tym adresem epitety „zbiry" i „zbrodniarze".

Sądy polskie mimo niesłychanej naganki masońsko-lewicowej wykazały ponad wszelką wątpliwość, że nigdy nie było żadnej łączności jakichkolwiek grup z zabójcą Narutowicza. Mimo to p. J. Tuwim wiersz swój w tomie umieścił. Poraz to pierwszy w historji Polski żyd bezpodstawnie, wbrew prawdzie, publicznie i bezkarnie nazywa wielki odłam patrjotycznego społeczeństwa polskiego zbirami, mordercami, głupcami i zbrodniarzami. Ten jeden fakt wystarczy na miarę, jak nisko upadła inteligencja polska.

W innym wierszyku p. t, „Do Marji Pawlikowskiej" p. J. Tuwim tak swoją względem kobiety kurtuazję zaczyna: „O, staroświecka młoda pani z Krakowa! Strzeż się! Biskup pieni się i krzyczy: horrendum!" Gdyby kto z Polaków do panny Tuwim (też poetka) napisał: „Strzeż się! Rabin pieni się i krzyczy", cała postępowa żydokerja powstałaby z gwałtem oburzenia na „antysemityzm" poety i skazałaby go na banicję milczenia, jak skazała p. J. A. Gałuszkę za jego trafny i artystyczny wiersz o żydach. No, ale Polak takiego upominku nawet żydówce nie wręczy. Wojna wojną, ale podanie damie butonierki sztucznych kwiatów z takim... zapaszkiem powinno było się skończyć „smagnięciem batem w pysk" rzezaka, według tuwimowej z „*Quatorze juillet*" recepty. Ale się nie skończyło, co również świadczy o nędzy moralnej naszej inteligencji.

Treścią tomiku p. J. Tuwima jest nieodmiennie to, co stanowi treść całej poezji kryptożydowskiej. Krew, błoto, nienawiść, zemsta, oszczerstwa, prowokacja, bezczelność, cesarskie cięcia, tasaki, rojność żydowska, olej, łój, tęsknoty do podwórka z miotłą, gdzie poeta się urodził, nawoływanie do rewolucji, czarne tłumy ulicy i... kwiatki, papierowe, ordynarne kwiatki, które mają być przyrodą i romantyzmem. Prócz tego trochę sentymentu narodowego, jak n. p. w wierszyku p. t. „Żydek" i trochę cebulki w szabasowej rybce. To wszystko w stylu kabaretowym. Treść tę poeta wyraża słowami języka sobie obcego, więc pisze nietylko obrzezanym językiem polskim, ale i z rozpaczliwą męką, o czem sam ciągle mówi.

Błędów językowych stosunkowo mało. Więc n. p. „nosi strój" w znaczeniu „ma na sobie", „nie natchnij mnie hymnami", drzewo korzeniami „zarosłe" w ziemi i t. p. czysto żydowskie obrzezki językowe. P. Tuwim pilnie i wściekle uczy się tego djabelskiego języka, więc błędów wręcz—popełnia mało. Ale za to język jego jest od początku do końca sztuczny, oschły, martwy, chociaż autor galwanizuje go efektami i cyrkowemi skokami.

Sam autor ciągle powraca do tematu o słowie i mowie, tak w omawianym tu tomie, jak i w poprzednich. Widać, że go to boli, niepokoi, że się tu czuje na nieswoim gruncie. Przytoczę dwa westchnienia poety z wierszyka p. t. „Sitowie". „Nie wiedziałem, że się będę tak męczył, słów szukając dla żywego świata", a kończy zwrotką:

„Czy to już tak zawsze ze wszystkiego
będę słowa wyrywał w rozpaczy
i sitowia, sitowia zwyczajnego
nigdy już zwyczajnie nie zobaczę?"

Można p. Tuwima zapewnić, że nietylko nie zobaczy, ale nigdy go nie widział. Ażeby widzieć przyrodę, trzeba naprzód mieć w sobie aryjską zdolność utożsamiania się z nią i miłowania jej, której żyd z rasy swej nie posiada i posiąść nie może. Dla żyda przyroda jest „babą wieczną, babą rozłożystą". Nawiasem mówiąc ta baba-przyroda u wszystkich poetów kryptożydowskich stale się powtarza. Przypomnę tu p. Wittlina, który tę babę szczegółowo i smakowicie opisuje, a następnie radzi poetom „pocałować ją i prędko uciekać". Jakby się zmówili! Ale się nie zmówili, tylko ich rasa zmówiła — jeszcze przed urodzeniem ich praszczurów biblijnych...

Czytanie poezji kryptożydowskiej napełnia Polaka odrazą i przyprawia go o mdłości. W zwykłych warunkach społecznych i kulturalnych poeci kryptożydowscy w Polsce, jako notoryczni i niedołężni grafomani, byliby conajwyżej przedmiotem śmiechu i drwin kawiarnianych. Ale od czego jest polityka i reklama? Poeci kryptożydowscy wyjechali w górę na owej gwałtownej fali chamstwa i nowobogackich, która Polskę po wojnie światowej nagle zalała. Wszyscy oni komunizują, bolszewizują, socjalizują, rewolucjonizują, liberalizują, lewicują, piłsudczują, a na prawo chrystjanizują, franciszkują, katolikują. I na lewo i na prawo—znaną metodą prowokacji. Zaś w gruncie rzeczy tylko judaizują.

Pozatem świat nie widział takiej reklamy, jaką sobie te żydki urządziły. A czego nie da się wmówić tłumowi reklamą? Przeżarta rakiem rozpanoszonej

burżuazji żydowskiej Warszawa pół na wiarę, pół pod hypnozą reklamy uznała poezję kryptożydowską za piękną, ba! nawet za sztukę polską... A lewicowe panienki mdleją, opowiadając sobie, że p. Tuwim ma w sypialni swej na ścianie obrazek św. Cecylji, przed którą codzień żarliwie się modli (zapewne o słowa). Dwie panienki widziały raz w kościele, jak panowie Stern, Watt i Wittlin wzięli się za rączki, podeszli do ołtarza i zgodnie uklękli zatopieni w modlitwie do św. Franciszka z Assyżu!

W zwykłych warunkach społecznych i kulturalnych piśmiennictwo polskie nie miałoby potrzeby zajmować sobie i innym czasu na omawianie i krytykę brudów żydowskich, choćby w polskim, niby języku pisanych. Ale przecie powinien na przyszłość zostać w dziennikarstwie ślad, że część inteligencji polskiej tego pokolenia widziała jasno i nie zatraciła kultury, ducha, gustu, smaku i... rozsądku. Jest to konieczne bodaj dla przeciwwagi różnym tygodnikom illustrowanym, które potulnie i haniebnie poszły na smycz kryptożydowską. Więc piszę o tem czasem, choć wolałbym od tej roboty śmiecie z warszawskich śmietników wywozić.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

# Z WRAŻEŃ WŁOSKICH STEFANA ŻEROMSKIEGO

Jednym z najważniejszym dokumentów duszy pisarza bywa jego korespodencja. Jest ona nieraz bezpośrednią i najszczerszą spowiedzią człowieka, nieprzepuszczoną jeszcze przez wysiłek literacki. Z listów najłatwiej można odtworzyć stosunek bezpośredniego wrażenia czy przeżycia do późniejszego utworu.

Mając możność, dzięki uprzejmości pani Oktawji Żeromskiej, wniknięcia bliżej w część korespondencji Żeromskiego, uważam za rzecz słuszną, ogłoszenie drukiem wyjątków, które nie dotyczą spraw czysto osobistych. Pisane są do żony.

Z wiosną roku 1902, Żeromski, uzyskawszy dłuższy urlop w biblijotece Zamoyskich, gdzie podówczas pracował, wyruszył w towarzystwie swego szwagra, dr. Rafała Radziwiłłowicza, w podróż po północnych Włoszech i południowej Francji. Praca nad „Popiołami" dobiegała końca. Ale zapewne autor chciał własnemi oczyma przed ukończeniem i drukiem powieści[1]) obejrzeć ziemia włoską, na którą przeniósł część akcji „Popiołów". Niejednokrotnie potem w dziełach swoich ją opisywał.

Jak zwykle zresztą, nie dopisywało Żeromskiemu zdrowie. Rozliczne cierpienia fizyczne, którym podlegał, mącą mu urok podróży, sprawiają, że wielu rzeczy godnych uwagi nie jest w stanie obejrzeć. Drugim motywem, przewijającym się stale przez kartki tych listów, jest tęsknota za pozostałą w kraju rodziną.

NERVI dn. 15. III... Zamieszkaliśmy w hotelu Nervi, który rekomendowała owa tłómaczka. Na szczęście już jej niema. Przejeżdżając zwiedziliśmy Genuę Widziałem port, który mi był tak potrzebny, wąskie spadziste uliczki i t. d. Obecnie mamy zamiar posiedzieć tutaj dwa tygodnie, jeżeli coś nie zajdzie, coby nam popsuło szyki. Wciąż jeszcze czuję w sobie influencę, popołudniu ból głowy, ciągłe pragnienie, dreszcze w nocy, poty, kaszel i t. d. Sypiam nieszczególnie. Widać nagła zmiana sprowadziła zakopiańskie bicie serca. Już ani wesołość, ani uroki, ani piękno ziemi widać nie dla mnie. Z okna widzę aleję drzew pomarańczowych, w których liściach świecą się olbrzymie, złote pomarańcze.

*(Nervi dn. 18. III)*... Mieszkamy tutaj, jak Ci już pisałem, w hotelu Nervi. Zajmujemy z Rafałem dwa pokoiki w t. zw. *dependence* od podwórza, gdzie hałas jest mniejszy. Okna wychodzą na ogrody. W dali widać morze. Influenca już mnie nareszcie opuściła dwa dni temu. Mam swoje 36,8° i głowa mnie nie boli, ale ze snem dosyć kiepsko. Pięć, najwyżej sześć godzin i to z lekarstwem. Rano i popołudniu wysiadujemy nad morzem. Jest tak okropne gorąco, że w samym surducie ledwie można wytrzymać. Musiałem kupić sobie kapelusz, gdyż w mojej podróżnej krymce nie sposób było wysiedzieć na słońcu. Kupiłem także czerwony kapelusik w Genui dla Adziusia[2]), wisi u mnie na kołku naprzeciw łóżka. Zdaje mi się, że to mój synek jest ze mną, gdy patrzę na jego małą czerwoną plamę.

Rafał kąpie się, chodzi po górach, używa rozmaitych sportów. Ja głównie patrzę na wodę i na dalekie liguryjskie w śniegu zatopione Alpy. Jeszcze nic nie napisałem, choć niby noszę ze sobą różne przybory. Wczoraj znalazłem w Genui doskonały ołówek w stalowej oprawie. Uważam to za dobry znak i zachętę do roboty...

W następnym liście, pisanym również w Nervi, odnajdziemy ciekawe ustępy, dotyczące procesu powstawania „Popiołów". Widać z nich, że pisarz w czasie swej podróży uzupełniał powieść, a nawet wprowadzał nowe rozdziały, jak np. ten zrodzony na widok przepychu ogrodów willi Pallavicinich. Zajdzie do nich w czasie swej dobrowolnej tułaczki szlachetny marzyciel ks. Gintułt, wraz z majorem de With[3]), który w cieniu cyprysów willi Vicinich wspomni o utraconej Helenie.

*(Nervi 22. III)*... Teraz postanowiłem siedzieć na miejscu, to znaczy w pokoju, którego maleńki balkonik wychodzi na dziedziniec zarosły palmami, a dalej na ogrody sąsiednich hotelów, gdzie kwitną morele i olbrzymie gaje kamelji. Zacząłem potrosze pisać uzupełnienie mojej powieści, ale idzie mi to jak z kamienia.

Kilka dni temu byliśmy w czterech (czwarty inżynier z Warszawy) na górze Portofino, skąd widać cały kraj i ogromny płat morza, a brzeg lewy, lewantyński, aż do samej Genui zasłany miasteczkami jeszcze bardziej szczelnie, niż wybrzeże zurychskie. Jechaliśmy na tę górę powozikiem, co nas nie wiele ukontentowało. Rosły tam na szczycie fijołki. Chciałem je wam posłać, ale powiędły nimem wrócił do domu. Wzamian posyłam Hanusi[4]) do jej zbiorów sześć listków drzewa pieprzowego, a jeden... kamforowego na znak, że zajechałem aż tam, gdzie pieprz rośnie. Liście te zerwałem sobie jeszcze w Pegli w ogrodach willi Pallavicinich, która jest najpiękniejszą rzeczą, jaką w życiu widziałem (mówię o ogrodach). Była tuż za hotelem, w którym mieszkaliśmy. Widziałem wszelkie drzewa, jakich nazwy słyszałem kiedykolwiek, albo o których czytałem. Naprzykład — cedry libańskie, olbrzymie tak bardzo, żem stał zdumiony, nie mogąc odejść, czarny bambus chiński, brazylijskie palmy, eukaliptusy, które od podnóża góry sięgały, zdaje się, aż do jej połowy. Stamtąd posłałem Wacławowi Sieroszewskiemu liść lauru w liście. Z nikim się nie znamy. Rano i popołudniu pracujemy nad

[1]) „Popioły" zaczął drukować w „Tygodniku Ilustrowanym" jesienią 1902 r.

[2]) Adam Żeromski, zgasły przedwcześnie w r. 1918 syn pisarza.

[3]) „Popioły" t. II str. 118.

[4]) Henryka Rodkiewiczówna, pasierbica Stefana Żeromskiego, dzisiej pani inż. Witkiewiczowa.

morzem to jest siedzimy na pustem wybrzeżu, gapiąc się na fale. Gdyby sen przyszedł... byłoby wszystko dobrze, ale nie przychodzi...

Jeden rozdział o tej willi Pallavicinich wprowadzę do swojej powieści. Dziś go właśnie zacząłem pisać. Ciągle myślę o tem, żebyśmy tu kiedy mogli przyjechać na całą zimę. Rafał rozpyta się szczegółowo o ceny domów za miastem w cyprysach, w piniach, drzewach pomarańczowych stojące osobno, kto wie może się udadzą *Popioły* i będę mógł wydać ze dwa tysiące rubli. Czemuż nie marzyć — raz około Wielkiej nocy.

*(Nervi 29. III)...* Nareszcie zbliża się kwiecień i wiosna u nas. Tutejsza nie wiosna, nie lato, nie zima, nie jesień ma w sobie dużo uroku, kiedy się wprost z zimy wleci w ciepło, ale po pewnym czasie zaczyna być jakoś monotonna. Nie wiem rzeczywiście, czy to już koniec lata, czy lipiec. W tym tygodniu były zimna, deszcze i wiatry... Wczoraj byłem w Genui na *Campo Santo*, czyli sławnym cmentarzu genueńskim. Nie zostałem zachwycony. Masa doskonałej roboty kamieniarskiej, ale ani jednego pomysłu artysty. Dwie tylko rzeźby w kościele cmentarnym są przepyszne, to jest Adam i Ewa. Byliśmy także w kościołach *Anunciaty* i *San Lorenzo*, gdzie dotykałem się łańcuchów, którymi jakoby był skuty Jan Chrzciciel...

Następnym etapem podróży stała się Nicea, która się Żeromskiemu podobała nadzwyczajnie. Nie omieszkał też pisarz zwiedzić bliskiego Monte-Carlo, wraz z „jaskinią gry“, której widok, przejął go wstrętem i lękiem. Wrażenia stąd wyniesione znajdą swe odbicie w lat kilka później na kartach „Dziejów Grzechu“. Godne zaznaczenia jest wrażenie, jakie uczynił na Żeromskim widok morza.

*(Nicea dn. 11. IV.)...* Dziś deszcz leje od samego rana, mam więc nareszcie czas wolny. Nicea jest prześliczna, raczej okolica jej. Nervi Pegli ani się nie może równać z takiemi cudnymi miejscowościami, jak San Romo, Ospendaletti, Beaulieu. Same palmy, całe lasy palm, wszystko w kwiatach. Pola goździków, róż, pomarańcze, tak, że całe wzgórza są od nich różowe.

Mieszkamy w hotelu *Suisse* nad brzegiem morza. Pokoje nasze są na czwartem piętrze, ale dostajemy się do nich windą, więc się wysokości nie czuje. A co za widok! Całe morze ogromne, jak niebo widać z okna. Gdzieś we mgle, ginie brzeg ciągnący się w stronę Marsylii...

Wczoraj zwiedziliśmy Monaco i Monte Carlo, t. j. przedewszystkiem dom gry. Spędziliśmy tam cały dzień. Trudno wyobrazić sobie przepych tamtejszego parku, will miljonerów i samego budynku, w którym mieści się jaskinia. Dom ten jest w rodzaju opery paryskiej. Przepych sal, przedsionków, kolumn, obrazów, złoceń bronzowych, aż gniecie.

Zeszło nam z osiem godzin czasu na patrzeniu się, jak ludzie spuszczają i wygrywają majątki. Pewien żydzina w kwadrans wygrał przy mnie 18 tysięcy franków. Ja przegrałem 5 franków i więcej nie próbowałem szczęścia. Stawiałem na cyfrę 27 t. z. na wiek Adasiów, ale nie udało się, więc dalej nie szedłem. Co za straszne twarze, szczególnie kobiet i to starych bab! Choć są i poprostu bohaterskie w przyjmowaniu przegranej. Ruleta jest mniej hazardowna od gry karcianej *rouge-et noire*. Tam dopiero szeleszczą tysiącfrankowe papiery i mienią się góry złota. Jeszcze mam w uszach złowieszczy krzyk krupiera, rozkładającego karty.

.....W ostatnią niedzielę była w Nervi cudna zabawa kwiatowa. Jest to coś najładniejszego, co można widzieć, bo to rzeczywiście zabawa i rzeczywiście kwiatowa. Po „bitwie“ została ulica formalnie zasłana najcudniejszymi różami i rododendrami.

Tu, w Nicei nie chodzimy na żadne rozrywki, jak teatry, opery, koncerty. Siedzimy na wybrzeżu morskiem i patrzymy w to morze, które jest zupełnie inne jak, w Nervi. Tam są skały i brzeg wysoki, tu brzeg niski.

...Któregoś wieczora siedzieliśmy z Rafałem nad brzegiem wieczór. Było ciemno najzupełniej tak, że nie było widać nic absolutnie. Wiał wiatr zwany Mistralem. W ciemności w morzu coś raz za razem błyskało — raz, dwa, raz, dwa. Niesłychane sprawia wrażenie, to migotanie w nocy. Morze huczy, gdzieś w niem zbłąkani marynarze szukają drogi — i wtedy ukazuje im się ta migotliwa nadzieja lądu.

Niegdyś zdawało mi się, że znam dobrze dziką przyrodę moich lasów, dzikie natury chłopów. Teraz morze z jego straszliwą dziczą, przewyższyło wszystkie moje wiadomości o przyrodzie.

W Nervi siedział z nami przy stole pewien Włoch, lekarz, dr. Madaglia, który jest lekarzem marynarki. Całe życie spędził na morzu. Cóż to za ciekawy człowiek. Teraz już jest chory i chce osiąść na lądzie. Włochów tam dużo, wszyscy prawie chorzy na malarję.

Tutaj w hotelu *Suisse* — są prawie sami Niemcy i Szwajcarowie. Jest poważnie i nudno. Większość zresztą tych wszystkich osób, co pewien czas znika. Można ich wszystkich łatwo odnaleść w Monte-Carlo.

Straszliwa to rzecz ten hazard. Jedynym ratunkiem i ochronieniem Adasia od kart i gry będzie to, żeby mu nigdy o tem nie mówić, żeby nie widział gry i nie grał. Bo najbardziej mądrzy ludzie tracą panowanie nad sobą i stają się szulerami, gdy tylko zaczną. Widziałem to wczoraj na mnóstwie osób. Na szczęście my nie daliśmy się skusić i przegraliśmy tylko pięć franków.

Drogą, którą odbędzie w lat kilka później nieszczęsna Ewa Pobratyńska wraz z chorym śmiertelnie poetą Jaśniachem [5], wyruszył Żeromski statkiem do Ajaccio, aby spędzić tutaj dni kilka. Oczywiście, że zwiedził ów dom, w którym przyszedł na świat „dumny Korsykanin“, Napoleon Bonaparte, obejrzał pozostałe po nim pamiątki. W cichej, skalistej ojczyźnie cesarza Francuzów, odpoczął po trudach podróży, po zgiełku gwarnych hotelów, którego nie znosił.

*(Ajaccio na Korsyce dn. 14/IV.)*. ...Od wczoraj tu jesteśmy. Przyjechaliśmy z Nicei morzem, bardzo szczęśliwie, bo nikt z nas nie chorował, pomimo że czas był burzliwy i statek doskonale przez całą noc kołysało. Przez trzy ostatnie dni w Nicei był czas ohydny, jak u nas najgorsze dni marca. W sobotę rano trochę się rozpogodziło, ale popołudniu znowu powstał wiatr, wywaliły się czarne chmury i morze było wzburzone, całe pokryte białemi pianami. Rafał poszedł na wycieczkę i zmokł, rozumie się do suchej nitki. Trzeba było jechać, bo statki chodzą na Korsykę raz na tydzień, trzebaby czekać aż do czwartku i to na gorszy statek. Ruszyliśmy tedy. Musiałem przeprosić się z kaloszami i grubem paltem. W porcie było obrzydliwie, mokro, ciemno. O szóstej ruszył się wreszcie statek, mokry, zaciapany. Skoro tylko wyszedł za latarnie portowe, noc się nasuwała, brzeg zczerniał i pokrył się mgłą. Morze było czarne, całe z brył ogromnych, spienione. Daleko za-

[5]) „Dzieje Grzechu“ t. I.

częła błyskać latarnia morska, gdzieś na końcu tego półwyspu stojąca. Przez pół godziny staliśmy na pokładzie, ale na pełnem morzu wiatr się stał przejmujący i zaczęło huśtać co się nazywa. Zeszedłem do kajuty, t. j. do nory, do pudła z czteremi szufladami i położyłem się. To mię uratowało, bo jakoś przystosowałem się do huśtania.

...W porcie Calvi, który jest na północy Korsyki byliśmy o godzinie 3-ej w nocy. Tam staliśmy 3 godziny. Wylazłem wtedy na pokład. Ciemne figury w gumowych płaszczach snuły się koło nas coś gadając w korsykańskiej gwarze, jedna latarnia pływała w ciemnej wodzie, deszcz wciąż padał. O szóstej zaczęło świtać. Od szóstej do 12-ej w południe jechaliśmy znowu na południe wzdłuż zachodniego brzegu Korsyki. Siedzieliśmy na pokładzie, deszcz ustał. Korsyka, to olbrzymie łańcuchy gór nagich zatopione w morzu. Nigdzie ani śladu mieszkań ludzkich, dolin, pól. Pustynia zupełna aż do samego Ajaccio. I w samej zatoce Ajaccio nic nie widać, coby zwiastowało, że tu ludzie mieszkają. Dopiero w ostatnim zakręcie ukazuje się miasteczko. Ale za to jakież to cudne miejsce! Najpiękniejsze jakie widziałem. Tak ciche, jak jaka wieś w górach świętokrzyskich. Roślinność niesłychana. Przytem trafiliśmy na doskonały hotelik „*Hôtel-pension des Etrangers*“.

...Zaraz za miastem są lasy oliwne, a wyżej góry. Kozy spędzają z gór stadami i środkiem ulicy pryncypalnej wali brodate stado z wielkiem dzwonieniem. Samo stare miasto jest tak brudne, że Wąwolnica, a nawet Otwock żydowski jeszcze mogłyby z niem rywalizować. My mieszkamy w dzielnicy cudzoziemców, za miastem na wzgórzu przy alei palm i platanów. Dziś byliśmy w domu Napoleona, oglądaliśmy jego meble, gdy był chłopcem, podziemne wyjście któr[y]m uciekał i t. d.

Ajaccio z tego jeszcze względu jesi mi bardzo przyjemne, że to jest ostatni punkt mojej podróży. Teraz od niego zacznie się już powrót i będzie trwał z mał[y]mi przerwami, ale ciągle. Strasznie jestem stęskniony. Nie mogę przypomnieć sobie twarzy Adziusia. Czasem tylko gdzieś we mnie odezwie się jego głos, jakieś słóweczko — i zaraz zatrze się w uszach. Nie mogę sobie wtedy dać rady. Jakżem zazdrościł w Nicei dzieciom, które się bawiły na kamienn[y]m such[y]m wybrzeżu morza.

Myślę w Nałęczowie urządzić sobie altanę w taki sposób, żebym w ciepłe dnie mógł w niej przepisywać powieść. Stolik jaki i krzesełko się znajdzie pewno, słomianka pod nogi, atrament i pióro przywiozę z sobą i do roboty. Nie wiele tu napisałem ale za to mam inną głowę i inaczej będę mógł wydać tę powieść...

*(Bastia dn. 17. IV.).* ...Dziś odjedziemy z Bastia do Livorna, za godzinę. Był tu bardzo podły nocleg, gdyż w tym samym hoteliku „*de France*“ zatrzymał się jakiś udzielny książe niemiecki. Wskutek tego był najstraszniejszy bezład, co przy wrodzonym temu hotelowi smrodzie i brudzie wytworzyło dziwnie rzewny kalejdoskop.

Przejazd przez Korsykę trwał wprawdzie osiem godzin ale za to należy do najśliczniejszych widoków. Kolejka przechodzi przez najwyższy łańcuch gór na wysokości 900 metrów. Ze strony południowej, od Ajaccio rosną południowe drzewa — kasztany słodkie, eukaliptusy, platany — nagle wjeżdża się w długi tunel pod Monte d'Oro i na drugiej jego stronie w Vizzavona — jest się w lesie złożonym z samych limb, bardzo podobnych do naszych świerków.

Vizzavona jest to miejscowość w rodzaju Zakopanego i na takiej samej wysokości położona. Dokoła ciągną się śniegiem przywalone góry Monte d'Oro i Monte-Rotondo, co przy południowem słońcu sprawia szczególne wrażenie. Stamtąd droga biegnie dolinami, których piękności nie może wyrównać żaden widok alpejski. Całe zbocza pokryte są roślinami, podobnemi do naszego jałowcu, które teraz kwitną i wydają zapach miodowy, przypominający zapach wrzosu.

Skał nie widać prawie i tylko w przepaści niezmiernej potok w tem wysłaniu wydaję się jakby był uśpiony na kwiatach.

Droga szybko idzie na dół aż do brzegu morza, gdzie znowu są mielizny, błota, laguny...

Z Bastji udali się podróżni statkiem do Livorno, a stamtąd, omijając z powodu braku czasu Rzym, przez Pizę, Florencję i Wenecję do kraju.

(*Piza dn. 18. IV.*). Wczoraj wieczorem przyjechaliśmy do Pizy i Livorno, gdzie opuściliśmy morze. Dziś wyjeżdżamy do Florencji, która oprócz wielu innych ma jeszcze dla mnie ten urok, że tam spodziewam się zastać listy i wiadomości.

Podróż morzem z Bastji do Livorno udała się doskonale. Był dzień najcudniejszy. Morze leżało, jak szyba lustrzana. Zawinąłem się w pelerynę i leżałem na górnym pokładzie statku przez ośm blisko godzin od 10 do 4-ej popołudniu. Widać było Korsykę, na prawo wyspę Elbę, na lewo Capraję, dalej Gorgonę. Potem wszystkie zasunęły się mgłą, zginęły w oddaleniu i zostało samo morze. Dopiero wówczas brzeg Toskanii zaczął wychodzić. Jedziemy teraz obejrzeć wieżę pochyłą...

*(Florencja, dn. 20.IV)*... Siedzimy tutaj od piątku. Przyjechaliśmy z Pizy po południu. Mieszkamy w hotelu *Porta rossa.* Z okien widać kopułę katedry i sławną wieżę dzwonnicę ,,*Campanilę*“ Giotta. Florencja jest to najśliczniejsze miasto, jakie w życiu widziałem. Ładniejsze niż Mediolan, bo pełne sztuki. Sztuka poprostu kapie z muzeów i galerji na ulice. Niedaleko od naszego mieszkania, bo zaledwie kilkadziesiąt kroków, znajduje się Loggia dei Lanzi, rodzaj portyku czy ogromnej hali z wejściem dla wszystkich, otwarta i stanowiąca część ulicy, gdzie stoją najcudniejsze dzieła sztuki bo naprzykład, Perseusz Benvenuta Celliniego, Judyta Donatella i t. d. Siadujemy tam często idąc na pocztę.

Wczoraj zwiedzaliśmy galerje Uffizi i Pitti. Zajęło to pół dnia. Po południu pojechaliśmy do Fiesole miejscowości za Florencją, gdzie są ruiny starorzymskiego teatru, stare wykopaliska etruskie, katedra Fiesole leży na górze, z której widać jak na dłoni całą Florencję, rzekę Arno na dużej przestrzeni płynącą dolinami, góry otaczające. Jedzie się wśród ogrodów i will, pośród prawdziwie włoskiej roślinności. Na ławach starorzymskiego amfiteatru wygrzewaliśmy się na słońcu ze dwie godziny. Dziwnie smutne uczucia budzi takie miejsce. Z powrotem pojechaliśmy jednokonną dryndą, która taniej wyniosła, niż tramwaj, a za to mieliśmy sposobność obejrzeć ogród z willą Palmieri, gdzie Boccacio pisał swój *Decameron*, schroniwszy się przed zarazą we Florencji. Dziś willa ta, która była niegdyś za miastem znajduje się na przedmieściu.

W galerjach rozumie się, możnaby siedzieć miesiącami. Widziałem sławne Tyciany, Rafaele, Venus

medycejską, *Sclavusa* i t. d. Dziś zwiedzimy pozostałe rzeczy we Florencji, a jutro rano pojedziemy do Bolonii. Nocleg wypadnie w Mantui. Tu w nocy hałas taki, że o spaniu niema mowy. Dziś w nocy była pod sąsiednią kamienicą serenada, ale nich ją licho porwie!...

Będąc w Mantui, splamionej ongi zdradą gen. Foissac-Latoura, oddającego w niewolę austrjacką bohaterskich obrońców fortecy i towarzyszów broni, polskich legjonistów, zaszedł pisarz na ów cmentarz *San Giorgio*, który unieśmiertelnił na krwią i łzami pisanych kartach „Popiołów". Tutaj błądząc po ruinach starych fortów, pobiegł myślą ku swemu ulubionemu bohaterowi, jednemu z tych, których genjuszu lękał się sam Bonaparte, ks. Sułkowskiemu.

*(Mantua, dn. 22.IV)*... Jesteśmy w Mantui od wczoraj, a przyjechaliśmy tu z Bolonii. Ostatni dzień we Florencji, zeszedł cały na zwiedzaniu przecudnych tamtejszych zbiorów. Wprost nie można objąć pamięcią tego wszystkiego, co się widziało. Przecudne muzea i galerye. Kościoły pełne arcydzieł, wycieczki do Fiesole i do ogrodów Boboli — wszystko to przeciągnęło się w jakiś dziwny sen. Szczególne wrażenie wywarła na mnie zakrystja kaplicy Medyceuszów z rzeźbami Michała Anioła, kościół *Santa Croce* z pomnikiem Dantego, Galileusza, Machiavellego — i Ordynatowej Zofji Zamoyskiej, oraz innych Polaków — oraz muzeum narodowe ze skarbami w rzeźbach, pamiątkach. Niema co nawet mówić o galerjach Uffizi i Pitti, gdzie miesiącami możnaby siedzieć.

Z Florencji wyjechaliśmy wczoraj rano o piątej. Źle się wyspałem, głowa mię bolała. Przed południem przyjechaliśmy do Bolonii. Tu nas spotkał Zilbersztejn, Żydek z Warszawy, który jest profesorem nadzwyczajnym w uniwersytecie bolońskim. Oprowadzał nas po mieście. Byliśmy więc w starym uniwersytecie, gdzie obecnie mieści się olbrzymia bibljoteka (300.000 tomów). Zwiedziłem ją całą dzięki znajomościom Zilbersztejna; równie jak dawne aule, kaplice, pamiątki po Polakach. Potem zwiedziliśmy nowy uniwersytet i również jego bibljotekę, poprostu olbrzym, ze zbiorem rękopisów i oryginałów. Potem byliśmy w galerji obrazów szkoły sztuk pięknych i widzieliśmy św. Cecylję Rafaela, a na ostatku w teatrze ludowym, gdzie grano jakiś krwawy dramat. Pyszne zachowanie się publiki starczyło za najlepszy teatr.

Nad wieczorem przyjechaliśmy do Mantui... Dziś rano zwiedziliśmy całą Mantuę. Jeździliśmy za miasto przez most *Giorgio* do fortów leżących w ruinie, gdzie dzieją się moje dramaty. Trafiłem na ten cmentarz, gdzie się tak odznaczył Sułkowski! Znalazłem go odrazu bez pytania się dryndziarza. Trawa tam śliczna porasta na tym gruncie polanym łzami legjonistów.

Miasto Mantua całe prawie leży w ruinie, jest w stadjum zupełnego upadku.

W liście z Descuzano wraca raz jeszcze pisarz do swego pobytu na mantuańskim cmentarzu. Z uwag, przytoczonych niżej, widać, jak silnie oddziałał na niego urok odległych tradycyj związanych z tą ziemią, którą przed laty zlała tak obficie krew polska. Żeromski uważa te swoje krótkie odwiedziny za dobry znak, który pozwoli Popiołom „upiększyć nasze twarde życie czemś lepszym". I jeszcze jeden moment w tym liście zasługuje na podkreślenie. To refleksje na widok domu Capuletich w Weronie, gdzie miała się rzekomo rozegrać miłosna tragedja Romea i Julji. Widok brudnego, niechlujnego szynku na tem miejscu, opromienionem blaskiem poezji, to jakby zetknięcie się marzenia poety z twardą rzeczywistością. Identyczny moment z łatwością odnaleźć można w „Popiołach". Do tych samych wniosków dojdzie ks. Gintułt, którego do Werony przygna tęsknota za cieniem Julji [6]).

*(Descuzano, dn. 24.IV)*... Siedzimy tu, w Descuzano drugi dzień. Przyjechaliśmy onegdaj wieczorem z Verony.

Dziś Rafał pojechał dla zwiedzenia jeziora Garda statkiem, a ja odpoczywam leżąc bez ruchu. Mam tylko jeszcze do zobaczenia Padwę i Wenecję, gdzie zabawimy dzień jeden. Nie pojedziemy na Peszt, gdyż to ogromnie dużo czasu zabiera, lecz tą samą drogą na Wiedeń. W Wiedniu zanocujemy i na nazajutrz pojedziemy do Rutki i zamków Orawskich, a stamtąd na odpoczynek czterodniowy do Zakopanego. Za jedenaście dni, czyli rano dnia 6 maja we wtorek będę w Warszawie. Marzę o tej chwili, jako o największem szczęściu. Dla człowieka słabowitego i chorego podróże są męką i doprowadzają często do rozpaczy.

.. Nadzwyczajnie rad jestem ze zwiedzenia Mantui. Zdaje mi się, że Ci pisałem o odnalezieniu cmentarza *San Giorgio*. Było to dla nas jakby dobrym znakiem, że z tylu bied, trudów, utrapień, wypadków i znojów może wypłynie mój utwór i upiększy nasze twarde życie czemś lepszym. Był to drobiazg, bo nic przecie z tego nie wyniknie, że znalazłem miejsce, które już opisałem na niewidzianego według pamiętników, ale uczuciowo była to jakaś wygrana nad przeciwnościami. Zresztą rozdział o Sułkowskim zyska na tem oczywiście.)

Śliczna jest Verona. Posłałem widok starorzymskiego teatru, gdzie męczono chrześcijan. Mając dosyć czasu poszliśmy z Rafałem na miasto i zwiedziliśmy je dość szczegółowo. Widzieliśmy kościół *Zeno Maggiore*, mosty na Mincio, stare ulice i place, grobowce Scaligierów, rynek starej *Signorii*. Szczególniej zajęła mię *Piazza Erbe* t. zw. *Tribuna*, rodzaj baldachimu, gdzie czytano wyroki skazanych na śmierć. Do jednego ze słupów przykuty jest naszyjnik żelazny. Dalej na *Via Capelli* widzieliśmy dom Capuletich, gdzie mieszkała kochanka Romea, Julja. Napis nad drzwiami głosi: „Oto jest dom niegdyś Capuletich, z którego wyszła Julja, co tyle serc męskich wzruszyła i tylu poetów pobudziła do pieśni". Dom Capuletich jest to teraz ohydny zajazd, śmierdzący jak najbrudniejsza stajnia, z przegniłymi belkami nad bramą, z oknami pełnymi brudnych gałganów. Nie można wcale uwierzyć, żeby tam właśnie na tem podwórku zawalonem nawozem i betami rozgrywała się miłosna historja Szekspira. A jednak dziwne sprawia wrażenie, owo przybliżenie wymysłów poezji do rzeczywistości, owo jakby dotknięcie się osób, które wcale nie istniały, albo były zupełnie inne, niż to powiedziano. Werona zrobiła na mnie bardzo miłe wrażenie. Pełna jest poezji. Descuzano jest to dziura nad wodą. Zupełny Rapperswyl, tylko sto razy brudniejszy. Jezioro podobne do Zurychskiego. Po morzu wydaje się jak obmierzły filister, który stroi się i puszy, a nie ma ani cienia duszy. Morze nigdy nie jest spokojne, bezczynne, gnuśne, zawsze żyje, jak dusza uczuciowego człowieka. Jezioro jest martwe i senne. Zresztą niema tu już ani włoskiej roślinności, ani południowego gorąca. Chmury wiszą nad wodą, daleko niski brzeg ledwie widać. Nic mnie tu nie zachwyca...

Ostatnie dwa listy z Wenecji i Orawy, nie zawierają nic specjalnie ciekawego. Poza krótkiemi wzmiankami o szczegółach przejazdu przez Wenecję, Tryjest i Wiedeń daje w nich pisarz wyraz swej radości, że nareszcie podróż dobiega końca i że będzie mógł zabrać się usilnie do pracy twórczej.

STANISŁAW KNAUFF

[6]) „Popioły" t. I. str. 207. ...Zapytał jednego z przechodniów o dom Julji i wkrótce przyprowadzony został do jego bram. Zaśmiał się szyderczo i długo. Odrapana buda, w której mieści się szynk ostatniego rzędu i coś jeszcze gorszego. W głębi czarodziejskiego pałacu — kupy gnoju, szerzące fetor nie do zniesienia. „Błogosławiona, o, błogosławiona po dwakroć nocy! Czyliż to wszystko, dokonywujące się w tobie, nie jest tylko marą? Coś tak lubego możeż być istotnem?"... Cha — cha...

# LIBERUM VETO

Słowacki w ochranie. — Jak pochowano prochy Mickiewicza. — Powitanie przyjeżdżających dygnitarzów. — Skromność wielkich ludzi. — Zawiedzeni. — Zamknięcie sejmu. — Wesoła galerja.

DZIENNIKI nienajemne i nieliberyjne dostarczyły w ostatnich tygodniach żyjącym dziś obywatelom i przyszłym historykom naszym bardzo dużo cennego materjału. Według przytoczonego w „Gazecie Warszawskiej“ opisu krakowskiego „Kurjera Codziennego“, który należy do chóru rządowego, wystawienie i przeniesienie na Wawel prochów Słowackiego odbyło się nie tyle w bezprzykładny, ile w nieoczekiwany sposób. Nad całą uroczystością panował „duch Wschodu“. Gdy na dworzec zajechał pociąg żałobny, z przyczepionego doń wagonu restauracyjnego wychyliły się „bezmyślnie roześmiane twarze a z wnętrza buchał gwar śmiechów“. Co to za figury? — pytano. „Wywiadowcy policyjni z Warszawy“ — ktoś objaśnił. „Po co“? To drugie pytanie było naiwne w ustach ludzi, którzy pamiętali rosyjskich „tiełochranitieli“, ubranych w „gorochowoje palto“, doskonale znanych dzisiejszym rządcom „najdemokratyczniejszej Rzeczypospolitej“. Gdy trumnę wystawiono w Barbakanie, policja otoczyła go zwartem kołem, nie przepuszczając „poważnych Obywateli“, natomiast we wnętrzu „kręci się dziesiątki jakichś dziwnych, tajemniczych ludzi o mocno niepewnych twarzach“.

Podczas pochodu na Wawel nakazano zamknąć wszystkie okna zewnętrzne w mieszkaniach prywatnych, a nadto zabroniono publiczności zbliżać się w odległości 300 kroków do ulic, któremi on będzie się posuwał. Na rozkaz p. marszałka zanieśli trumnę do podziemia katedry oficerowie. Publiczność pozostać musiała za parkanem policyjnym.

Inaczej odbyła się podobna uroczystość sprowadzenia prochów Mickiewicza. Byłem na niej. Pomimo utrudnień paszportowych zjechały się na nią tłumy osób z zaboru rosyjskiego i pruskiego. Od rana ulice, przez które miały przejechać relikwie wielkiego i ukochanego poety, zapchane były tłokiem, pozostawiającym tylko wąski pas wolny pośrodku. Gdy ukazał się wysoki, czerwonem suknem pokryty karawan, na którym spoczywała przepasana sznurem trumna, wybuchnął krzyk radości, który szybko przemienił się w głośny płacz. Zdawało się, że to nie karawan, ale rydwan triumfalny, że na nim leży nie trumna z kilkoma niespróchniałemi kośćmi, ale stoi żywy, natchniony wieszcz, którego naród wita po długiej rozłące rozszlochaną z głębokiego wzruszenia radością. Nikt nie przypatrywał się obojętnie widowisku, po wszystkich twarzach polały się łzy a z wielu ust dobywało się łkanie. Pamiętam dokładnie, bo sam również płakałem. Za otoczonym czcią i miłością karawanem popłynęła żadną tamą niepowstrzymana rzeka ludzka na Wawel, gdzie dostojni obywatele, mający prawo do tego zaszczytu, znieśli trumnę do podziemia. Żadnych nakazów i zakazów, żadnych „tiełochranitielej“, żadnych jawnych i tajemnych policjantów nie było. Był tylko Mickiewicz i kochający go naród. Podziękujcie losowi wszyscy, którzy tego święta nie widzieliście, a patrzyliście na policyjne „pochorony“ Słowackiego. Popękałoby wam serce.

Były one zresztą w stylu obyczajów urzędowych, chociaż przyznać trzeba, że Słowackiemu zrobiono wyjątkowy zaszczyt. Urzędnicy rosyjscy nie mogli pojąć, dlaczego uczczono w Warszawie pomnikiem Mickiewicza, który był przecie tylko „koleżskim registratorem“ i proponowali, ażeby tę rangę umieścić w napisie. Słowacki nie był „sanatorem“ a jednakże przyjęto go w Krakowie z większym ceremonjałem, niż dyrektora departamentu, nadzwyczajnego komisarza a nawet ministra. Wiadomo, że nasi dygnitarze nie przyjeżdżają jak zwykli śmiertelnicy. Oczekuje ich zawsze na stacji przybycia jakiś większy lub mniejszy orszak powitalny. A. Nowaczyński gorszy się i niemiłosiernie drwi z tego „czynopoczytania“ w „najdemokratyczniejszej Rzeczypospolitej“. Zaznacza przytem, że Foch mieszka w czterech skromnych pokojach i podróżuje bez przyjęć teatralnych, że prezydent Szwajcarji jezdzi tramwajem, że wogóle wielcy ludzie i dostojnicy zagraniczni są bardzo skromni. Wartoby przypomnieć Washingtona, który wywalczywszy swej ojczyźnie niepodległość, zapakował swe rzeczy w walizkę i odjechał do swej posiadłości bez hałasu, pożegnany przez przyjaciół. A jego towarzysz, nasz przepiękny w swej czystości i skromności Kościuszko! Pomijając różnice charakterów, wiele tu waży tradycja gatunku. Wielcy ludzie narodów o wysokiej kulturze, to są arystokraci, szlachta zasługi, sławy, geniuszu i cnót obywatelskich, dziedzice dawnej chwały, których najwyższa godność nie odurza, do szału nie doprowadza, bo są z nią oswojeni. Inni całkiem są dorobkiewicze władzy, którzy ciągle nią się popisują, jak zwyczajni dorobkiewicze popisują się swojem bogactwem. Darwin tłómaczy, że zwierzęta jeżą swoją szerść, ażeby się wydawały większe i groźniejsze. To samo czynią ludzie, którym ceremonjał i imponujące miny zastępują szerść. Są przekonani w swej naiwności, że kto stanął wysoko, ten jest wielkim i często podobni do owego polskiego kantorowicza, który wdrapawszy się na wirch tatrzański, zadeklamował: „kiedy stoję na gór szczytach, zapominam o zaszczytach“ albo do niemieckiego, który przypatrując się ze szczytu alpejskiego zachodowi słońca, rzekł do towarzysza: „Jakiż to wspaniały obraz! O tej godzinie we Frankfurcie kantory zamykają“.

Zawiesiwszy swoje harfy na wieszakach, usiedli nad brzegami Babilonu i płaczą. Nie mają nawet tej pociechy, ażeby ktoś współczuł ich smutek. Zaledwie rok upłynął, gdy przed wjeżdżającym do Kapitolu zwycięzcą biegli z krzykiem, wyciem, wymysłami, pogróżkami, zapowiedziami „uzdrowienia“ i „radości życia“ — i oto szeroko otwartemi lub skromnie przymkniętemi ustami skarżą się głośno i cicho na zawód, rozczarowanie, na niszczenie demokracji i parlamentaryzmu a nawet na „nieobliczalne niespodzianki, psoty i figle“. Niektórzy zrzucają liberje i czerwone koszule (takich używa nasz „faszyzm“) i wdziewają czarne surduty z krepą na rękawach na znak żałoby po straconych nadziejach. Ten chór smętny i mięki dlatego tylko jest łagodnym, że śpiewacy stoją przy pełnych misach i posiadają zasobne spiżarnie. Gdyby nie byli syci, ich jęk przeszedłby w dziki wrzask. Naiwni mołojcy i rizuny, nie rozumieli i nie rozumieją dotąd, że dla stworzenia zła, którego pragnęli i oczekiwali, potrzeba również zdolności twórczej, której nie zastąpi namiętność niszczenia dobra.

Opluty, sponiewierany, podarty na strzępy partyjne sejm został zamknięty w chwili, gdy je zszył w jakąś większość i zbliżał się do rozstrzygnięcia spraw pierwszorzędnej wagi. „Niespodziewany“ (dlaczego niespodziewany w bezmiernych granicach naszej administracyjnej możliwości?) ten wypadek utrzymał się zupełnie w stylu wschodnim, który obecnie panuje w naszej polityce wewnętrznej. Bo przypomnijmy sobie, że duma rosyjska była również tamowana w toku najważniejszych czynności. Ta nowa niespodzianka wywołała ostrą naganę nawet z lewe

strony, ale zyskała poklask tej galerji naszego teatru politycznego, która stanowi stałą klakę teatru rządowego. Gdyby sejm miał uchwalić uznanie „Pierwszej brygady“ za hymn narodowy, 19 marca za dzień galowy z obowiązkową iluminacją i flagami, umieszczenie na sztandarze państwowym gwiazdy jerozolimskiej obok orła białego, odczytywanie ewangelji podczas procesji Bożego Ciała w żargonie lub zmianę okrzyku „Niech żyje Polska“ na „Niech żyje Judeo—Polska“ — ci szanowni obywatele byliby bardzo niezadowoleni z przerwania sesji parlamentu. Ale on obradował nad tak brzydkiemi i błahemi sprawami, jak ustawy samorządowe, ordynacja wyborcza, dekret prasowy i t. d. Lepiej, że posłów wysłano na trawę.

Osobiście zresztą wyznam, że pożegnałem ich ze wstrzemięźliwym smutkiem i życzę im na wywczasiu więcej Salomonowej mądrości. Bo jeżeli nowa ordynacja wyborcza ma być taka, na jaką się zgodzili, to raczej niech zostanie stara. Przynajmniej będziemy wiedzieli, że to jest gnijące głupstwo i nie będziemy się łudzili, że wzamian otrzymaliśmy coś rozumnego i zdrowego

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

# GŁOSY

## O MASONERJI W POLSCE

WRZYMIE wychodzi niewielki rozmiarami miesięcznik „*Romana*“, poświęcony wyłącznie informacjom o kwestji żydowskiej we wszystkich krajach Europy. Ostatni numer czasopisma (z maja-czerwca 1927 r.) wypełnia obszerne sprawozdanie specjalnego korespondenta o sprawie żydowskiej i masonerji w Polsce.

Autor artykułu spędził w Polsce kilka miesięcy i starał się najwidoczniej wejść w kontakt z najrozmaitszemi ugrupowaniami, skoro zbierał n. p. opinje o duchowieństwie w Polsce u—bankierów żydowskich (nawiasem mówiąc, dodatnia opinja o naszych księżach tych kół, usposobionych zasadniczo antyklerykalnie, powiedziała mu więcej, niż zrobiłyby to najbardziej pochwalne hymny ze strony wiernych). Jakkolwiek praca jego ma wszelkie cechy zacieśnionej do ram artykułu informacji o ważnej i skomplikowanej sprawie, informacji zestawionej przez jednostkę, obcą społeczeństwu, o którem pisze, to jednak wartość artykułu podnosi to, że wyszedł z pod pióra człowieka, który, jako współpracownik „*Romany*“, oddawna zajmuje się i sprawą żndowską i sprawa masonerji.

Na dzieje powojennej Polski patrzy autor, jak na ścieranie się dwóch żywiołów: czysto polskiego, narodowego z jednej strony i masońsko-żydowskiego z drugiej. Pierwszym aktem masonerji w Polsce było, według autora, utworzenie Rządu Lubelskiego; wszyscy ministrowie gabinetu Daszyński-Moraczewski byli członkami lóż. Główne usiłowania masonerji skierowane były na razie na wybory prezydenta. Koniec roku 1922 można uważać za triumf masonerji w Polsce. Drugim takim momentem jest moment obecny.

Wielka Loża Polska należy do obrządku szkockiego. Cały obóz sanacyjny znajduje się pod jej wpływami. W maju 1926 r. wielka Loża Polska liczyła 13 „warsztatów“ prowincjonalnych i zwykłych; obecnie liczba ich została conajmniej podwojona. Obok masonerji polskiej ożywioną działalność rozwija w Polsce masonerja żydowska, *Bnaïbrith*. *Bnaïbrith* rozgałęziona jest bardzo w Niemczech, tam też wychodzą jej organy, w Polsce bardzo trudno było autorowi otrzymać o niej informacje. Poza tem, na terytorjum Polski zachodniej, w Poznaniu, na Śląsku i na Pomorzu, działa *Grosslogenbund* niemiecki wśród Niemców polskich; w prowincjach zaś Polski środkowej i wschodniej istnieją jeszcze wpływy lóż wojskowych niemieckich, zorganizowanych w czasie wojny, „Żelaznego Krzyża Wschodu“ (*Zum eisernen Kreuz in Osten*) w Warszawie i „Pałającego Miecza“ (*Zum flammenden Schwert*) w Wilnie.

Wybitną rolę odegrała w r. 1926 loża „Łukasiński“.

Opanowane są przez masonerję posterunki polityki zagranicznej i in.

Na czele „Wielkiego Wschodu Polskiego“ stoi Andrzej Strug. Za tego jednak, który faktycznie rządzi w Polsce masonerją, uważa autor Askenazego. Oto w jakich słowach daje jego charakterystykę: „Ponad temi intrygami (mowa tu o loży Łukasińskiego i o „sanatorach“) stoi wielki uczony, „Oko Czarnej Ręki“ (tak nazywa autor kahał żydowski) i jej żyjące upersonifikowanie, profesor historji, Szymon Askenazy, Książę Wygnania, potomek najwyższej arystokracji żydowskiej, regent tajemny nieszczęśliwej Polski, największy z jej zdobywców; największy i najmądrzejszy“.

Pomimo, że masonerja znajduje się obecnie w Polsce u szczytu swych wpływów, nie uważa autor polskiej masonerji za silną. Masoni polscy unikają też zbyt oficjalnych występów i wyraźnego zaznaczania swej woli, jak to np. czynią w Niemczech, nie mają odwagi cywilnej, cechuje ich pewna wstydliwość, a może obawa przed nagłym odruchem, o ktory w Polsce nie trudno.

Niezmiernie interesująca jest charakterystyka masonów polskich, jak ją podaje autor. W objęcia lóż popycha ich często chęć zrobienia karjery i—nienawiść do narodowych-demokratów. W głębi duszy są oni często patrjotami i, co więcej, nawet antysemitami. Stawiają opór i są nieposłuszni wobec rozkazów masońskich, pochodzących od obcych, z poza granic Polski. Element zaś kobiecy, tam nawet, gdzie ojcowie rodzin należą do masonerji, jest jej z reguły przeciwny. I gdyby żony i córki—dodaje autor, przeświadczony o potędze wpływów Polek — znały konspiracyjną działalność mężów i ojców, częściowo dla nich zakrytą, wywiązałaby się niezawodnie walka, z której nie mężczyźni wyszliby zwycięsko.

Przyczynę dojścia w Polsce masonerji do wpływów, pomimo niewielkich stosunkowo jej sił, widzi autor w splocie działań masonerji z dążącemi do odegrania roli ambicjami jednostek oraz we współdziałaniu z masonerją „Międzynarodowej Czarnej Ręki“.

Kwestji żydowskiej poświęcona też jest duża bardzo część opracowania. Stanowisko przedwojenne Żydów w Polsce, zachowanie się ich w czasie rewolucji 1905-go roku i w czasie wojny światowej, rola ich w czasie Konferencji Wersalskiej, sprawa rzekomych pogromów, sprawa *numerus clausus*, pakt z 1925 r. z rządem.

Autor uważa, że ze stronnictw polskich działalności masonerji przeciwstawić się może jedynie narodowa-demokracja i Obóz Wielkiej Polski. Wyraża się z uznaniem o ludziach ze stronnictwa i o kierunku, zarzuca jednak obozowi narodowemu bierność tam, gdzie należałoby działać, przedewszystkiem niedostateczną propagandę. Narodowcy polscy nie informują o swojem działaniu zagranicy, nie prostują wiadomości pochodzących od masońskiej prasy i masońskich ajencyj telegraficznych. Trzeba przyjechać do Polski, aby poznać ich pracę. Dzięki temu też Polacy nie wiedzą, ilu mają zagranicą przyjaciół. Autor wzywa

polskie sfery narodowe do nawiązania kontaktu z pokrewnemi czynnikami Zachodniej Europy.

*

W miesięczniku warszawskim *„Pro fide, rege et lege"*, redagowanym przez K. M. Morawskiego (zesz. 2), Hieronim hr. Tarnowski zamieścił bardzo interesujący artykuł p. t. „O niektórych rozbieżnych przejawach życia politycznego we Francji i u nas i o ich konsekwencjach". Autor oparł swój artykuł na broszurze wydanej w r. 1924 w Paryżu, (donosiliśmy o niej) p. t. *„La dictature dc la Franc-Maçonnerie sur la France"*.

Korzystamy z dyskusji na ten temat „Głosu Narodu", aby przytoczyć z artykułu red. Matyasika (z d. 17 lipca) ustęp poniższy.

„W cytatach ze wzmiankowanej broszury francuskiej (wydanej przez Komitet Katolicki z gen. Castelnau na czele), możnaby się doczytać, że masonerja dąży do rewolucji międzynarodowej. Ale jakiej? że nie socjalnej, względnie socjalistycznej, to jasne. Zdaje się, że chodzi jej o rewolucję podobną w dążeniach do Wielkiej Rewolucji francuskiej. Wynika to n. p. z toastu przewodniczącego W. W. Francji w r. 1923: „Na zdrowie republiki francuskiej, córki masonerji francuskiej, na zdrowie jutrzejszej republiki powszechnej, córki masonerji powszechnej", oraz z ciągłego gloryfikowania Wielkiej Rewolucji. W biuletynie Wielkiej Loży z r. 1922 czytamy: „Masonerja, która grała największą rolę w r. 1789, powinna być gotową, by dostarczyć kadrów dla zawsze możliwej rewolucji... Rewolucja międzynarodowa jest na jutro zadaniem masonerji". Ma to być zatem rewolucja o urzeczywistnienie świeckiej, walczącej z Kościołem republiki, na wzór Francji, a zwłaszcza Meksyku. Wspomnieć trzeba jeszcze krotko, że w dziedzinie wojskowej uchwały lóż domagają się głównie zniesienia sądów wojskowych i skrócenia czasu służby w szeregach do jednego roku, i że w polityce międzynarodowej masonerja bardzo energicznie pracuje nad wzmocnieniem autorytetu Ligi Narodów, którą chciałaby wyposażyć w międzynarodową armję i policję. „Rozbroić państwa poszczególne, a uzbroić Federację Państw Zjednoczonych". W Lidze widzi masonerja rywalkę kościoła w moralnym wpływie na ludzkość.

Wreszcie ostatni cytat z artykułu hr. Tarnowskiego: „Uderzającem jest, że w Polsce obala się zawsze w sposób *„Deus ex machina"* każdy rząd dążący do praworządności. Tak było z gabinetem p. Ponikowskiego, — w ostatnim zaś roku — skoro doszedł był do skutku rząd centro-prawicowy—p. marsz. Piłsudski zrobił rewolucję moralną". Możnaby na ten temat wiele powiedzieć, na razie stwierdzamy, że p. Tarnowski namacał właściwe miejsce, gdzie masonerja w Polsce odegrała rolę polityczną decydującą. Również ma rację hr. T., gdy omawia dziwne zachowanie się Al. Skrzyńskiego przed majem, kiedy to za żadna cenę nie chciał być premjerem prawo-centrowego rządu. P. Skrzyński wiedział, co robi".

## SZKODLIWE IDEAŁKI

Otrzymujemy następujące uwagi:

P. REMBIELIŃSKI we wstępnym artykule *) ostatniego zeszytu „Myśli Narodowej" trzeźwo rozprawił się z panoszącą się propagandą sportu tego rodzaju, która czyni z tego środka cel sam w sobie i podnosi go „w sposób uroczysty na wyżyny jakiejś idei samoistnej". Dobrze uczynił. Trzeba wreszcie spowodować silny przeciąg, któryby rozwiał chmury sadzy zaciemniające blask ideałów, żywiących naród. Autorowi artykułu należy się jeszcze uznanie i z tego powodu, że zwrócił uwagę na dziedzinę sportu właśnie, dziedzinę pod względem znaczenia dla życia narodowego naogół zapoznawaną, nie mniej jednak ważną i znaczenia wciąż nabierającą.

Dorzucę kilka spostrzeżeń na poparcie p. Rembielińskiego. M. Raszke w „Stadjonie" (Nr. 11 z r. bież.) w art. p. t. „Entuzjazm" powiada, że „oceniając społeczne znaczenie sportu wysuwamy zawsze na pierwszy plan fizyczne odrodzenie rodzaju ludzkiego", poczem zaraz dodaje na usprawiedliwienie „b y ć  m o ż e  s ł u s z n i e". Do fizycznego odrodzenia bowiem nie przywiązuje wagi, wobec znacznie istotniejszej treści sportu, jaką dla niego jest sport, jako „nowa filozofja życiowa", „tworzenie nowego człowieka", „kult piękna i bezinteresowności", „entuzjazm twórczy". Trzeba dodać, że czad ten urodził się z natchnienia p. Wassercuga (Widza), którego feljeton z powodu zamierzonego przyjazdu Nurmiego do Polski, stał się przyczyną napisania tych elukubracyj i nazwania p. Wassercuga „jednym z najgłębszych publicystów polskich". P. W. Horzyca w recenzji „sportowych" poezyj K. Wierzyńskiego („Stadjon", Nr. 24 b. r.) pisze: „dla Wierzyńskiego sport nie jest rozrywką, ani ekscytacją nerwów, ani widowiskiem, ale k u l t e m  n o w o c z e s n y m".

Co właściwie możnaby jeszcze o sporcie powiedzieć? Był już romantyzm, entuzjazm twórczy, kult nowoczesny, piękny idealizm, najwspanialsze wyżyny w walce z nieznanem etc. Ale — „fizyczne odrodzenie rodzaju ludzkiego"—to tylko „być może słusznie".

Któż niesie ten bagaż kłamstwa i głupstwa i zasypuje nim prostą ideję sportu? — „Te same sfery, z których rekrutują się najzagorzalsi szerzyciele idei pacyfistycznych i międzynarodowych" — odpowiada p. J. R. I tu mogę poprzeć autora ciekawym faktem. Przed bardzo niedawnym czasem w Warszawie odbył się zjazd sportowy młodzieży socjalistycznej i igrzyska robotnicze. Imprezie tej, nawet i sport dzielącej na klasy społeczne, patronował i zjazd otwierał, na licznych fotografjach pism ilustrowanych uwidoczniony, p. Andrzej Strug, mistrz loży masońskiej Wielkiego Wschodu w Polsce. Wobec niedawno ogłoszonych uchwał moskiewskiego „Sportinternu", które między innemi zawierają następujące wskazania programowe: „1. Żądanie organizowania fizycznego proletarjatu... 3. Wyodrębnienie robotników z dotychczasowych burżuazyjnych związków sportowych... 5. Wykorzystanie sportu robotniczego do celów rewolucji proletarjackiej. 6. Organizowanie robotniczych związków sportowych, jako—fizycznej gwardji proletarjatu"—trzeba stwierdzić, że zachodzi interesująca zbieżność działalności komunistów i masonów w organizowaniu sportu „robotniczego", jako taranu do rozbijania całości narodowej.

Dymowa zasłona kłamstwa, a poza nią zorganizowany atak na naród, jak i z innych stron tak i ze strony sportu. Taktyku dobra i rokująca pewne powodzenie. Jednakże nie przyniesie zwycięstwa i dlatego nie należy ataków z tej strony przeceniać. Życie i prawda zwalczą je skutecznie. Choćby przykład olimpjad, z których starano się zrobić etap do międzynarodu. Czegóż nie wypisano o „idei olimpizmu"! A jednak życie stworzyło z igrzysk olimpijskich arenę do pięknego współzawodnictwa narodów. Nie głupie „kółka olimpijskie" (emblemat „olimpizmu"), lecz sztandary państwowe łopocą w stadjonach po zwycięstwie poszczególnych narodów, a tłumy śledzących walki rodaków zwycięscy porywa entuzjazm na widok podnoszącej się chorągwi narodowej.

I z tego powodu niezupełnie zgadzam się z poglądem p. Rembielińskiego na szkodliwą według niego „standardyzację" sportu. Dobrze jest, że te same rodzaje sportów uprawiane są w Warszawie, co i w Jokohamie, bo ułatwiają porównanie sprawności narodów. Umożliwiają emulację między narodami—emulacja taka całkuje naród.

„Standardyzacja" sportów ma swoje głębokie przyczyny, rozwój jej nie jest do uniknięcia, nie widzę powodu zbytnio na nią narzekać.

---

*) p. t. „Światek maleńkich ideałów", M. Nar. № 16.

Wreszcie nie podzielam poglądów p. R. na „apoteozę rekordów“, „niezbyt przyjemny typ specjalisty-sportowca“, „widowisko dla tłumu“. Wydaje mi się, że należy przy ocenianiu tej ciemniejszej strony sportu wychodzić z założenia dobra gromady, nie zaś dobra induwiduum. Lepiej mieć wypełnione brukowce „rekordami“ niż „mordami“. „Niezbyt przyjemny typ wyspecjalizowanego sportowca“, którego ideałem jest może czasem wyłącznie osiąganie rekordów i który te rekordy osiąga—jest zjawiskiem koniecznem, bez którego sport nie rozszerzy się na masy. Bez udziału mas w sporcie zarówno odrodzenie fizyczne narodu nie jest możliwe, jak niemożliwe są również zwycięstwa nad innemi narodami. Fenomeny (konieczne są fenomeny, abyśmy mieli Nurmi'ego!) wyłaniają się tylko z pośród mas. „Specjaliści“ przyciągają do sportu masy — usportowione masy rodzą fenomeny.

Do tłumu nie trafi ideał „na surowo“. Trzeba mu go podać w formie widowisk i w ten sposób tłum wychowywać.

Wydaje mi się, że przykład p. Rembielińskiego zachęci publicystów narodowych do skutecznego rozbicia steku głupawej „ideologji“, roztaczanej dokoła sportu przez „kibiców“ sportowych, kierowanych z góry ręką doświadczoną i świadomą celu. Byłbym również zadowolony, gdyby moje uwagi przyczyniły się do przychylniejszego traktowania „rekordów i fenomenów“, branych z punktu widzenia nieodzownej przyczyny, przez którą sport rozszerza się na masy i staje się jedną z pierwszorzędnych spójni narodowych, jak również dobrym środkiem uświadomienia narodowego.

BUKWA

# IRONJA FAKTÓW

LUDZIE pierwotni lub naiwni nie odczuwają ironji faktów. Każde pobożne życzenie, „skrzydlate“ słówko, wymowny gest zastępują im to, czego odmawia rzeczywistość. Na tym atoli poziomie kultury, gdzie człowiek zaczyna obserwować siebie i szuka zwierciadeł dla własnej duszy — rozdźwięk między tem co jest, a tem co być powinno, tem czego się pragnie, a co ziszcza, tem co się obieca, a czego dotrzymuje — zaznacza się już całkiem jasno.

Skala tych dysharmonij jest olbrzymia. Od tragicznego rozłamu między ideałem a rzeczywistością—do znużonej ironji codziennych frazesów, przechodzimy z gorzkiem poczuciem jakiejś fatalnej konieczności, która kłębowisko lotnych zamierzeń wtłacza w ciasne foremki skromnych możliwości. A jednak—nie zawsze i nie wszędzie równie źle bywało. Najlepiej tam — gdzie rozumiano wymowę faktów, najgorzej tam gdzie ją lekceważono.

Znaczyż to, że mamy robić fetysza z faktu, bić czołem dlatego tylko, że jest? Byłoby to zaiste jałowe i płaskie. Z przekreśleniem idealnych porywów, z wytrzebieniem pragnień dalekich zamiera potężny fragment ducha—obumierają żywotne jego siły, człowiek poprostu tępieje!

Bywają, co więcej, okoliczności, kiedy faktom przeciwstawiać się nawet należy. W kleszczach przemożnych zaborców musieliśmy przez lat sto tak czynić.

Rozdarto nas? cóż stąd: żyć chcemy. Zdeptano nas? będziemy się dźwigać, wynarodowiono nas? nie damy „pogrześć mowy“. Brutalności faktów urągaliśmy wiarą i nadzieją.

Ale dziś — to już *tempi passati*. Heroizm taki byłby tylko anachronizmem; dziś powinniśmy oduczyć się lekceważenia faktów i wejść z niemi w porozumienie. Jest to nakaz dla wszystkich — od kierowników nawy państwowej do szeregowców.

Co to porozumienie ma jednak oznaczać w życiu społecznem, gospodarczem, umysłowem, artystycznem? Przedewszystkiem to, żebyśmy stawiając cele, pamiętali o środkach. Tu tkwi sedno praktycznych wskazówek. Rzućmy okiem na ten ogrom niezrealizowanych zamierzeń, imponujących celów i nikłość efektów, żeby się o doniosłości środków przekonać. Spójrzmy na plany, olbrzymie plany sieci komunikacyjnej, miast-ogrodów, instytutów, akademij, muzeów... Pójdźmy na obchód uroczysty, zjazd — aż dymno od wniosków, programów, postulatów, dezyderatów — i wszystko to zostaje na... papierze!

Dla przykładu — uprzytomnijmy sobie nasz sentyment dla morza. Morze — to potęga Polski, to świat zdobycia! — wołano. O tak. Ale środkiem do tego celu są nietylko utwory poetyckie, choćby i bardzo piękne, lecz przedewszystkiem własne porty i usmolone parowce. Albo też popularne dziś hasło oświatowe: spółdziałanie domu ze szkołą. Bardzo pięknie, zgoda na to, ale jak to uskutecznić? Czy to przepracowani pedagogowie mają ściągać na konferencje pedagogiczne zaharowanych rodziców? Nie warto mnożyć przykładów, znamy ich poddostatkiem.

Chodzi teraz o wykrycie źródeł, bliższych powodów takiego przeoczania, niedowidzania środków. Cele są tak olśniewające, że zaćmiewają w zupełności skromne a tak konieczne środki. Mniej wizyj, mniej deklamacyj, nie tak gwiezdnie i bezkreśnie — wyraźniej, rzeczowiej! chciałoby się zawołać na widok tych rakiet, puszczanych przez ludzi dobrej woli i jeszcze lepszej fantazji. Nie jako bańkę tęczową ale jako organizm, siedzący sobie w dołku na glebie, żywiący się trawą codzienności, niby pulchny grzyb, niby krzew warzywny, niby młynek pracowity i wydajny — taki musi być cel — jeden z wielu celów dnia powszedniego, o który dziś nam stokroć więcej, niż o stuletnie jubileusze chodzić powinno.

Tak widziany cel z łatwością podsunie dobór stosownych środków i zbliży nas do tego, co jest największym wrogiem ironji faktów — do realizacji pomysłów.

Realizacja, wcielenie myśli! jakiż urok tkwi w tem zjawisku, tak obcem naszej historji i naszemu życiu prywatnemu. Ni tam, ni tu, nigdzie powodzenia. Idee mocarstwowe paczyli nędzni wichrzyciele, z najświetniejszych zwycięstw dym pozostawał, kulturalne poczyniania jednostek gasły w apatji ogółu... Weźmy do ręki powieść obyczajową. Same klęski, zawody, niepowodzenia. Jeśli coś się uda — to ożenek albo intryga. Pozatem nigdzie prawie nie tkwi tak dobrze znane Zachodowi słowo: robiłem jak myślałem, udało się w zupełności! Triumfy, zwycięstwa świadomych wysiłków — to motywy najrzadsze i bodaj że — niepopularne u nas.

Niech nikt nie stawia tu zarzutów gaszenia zapału, nadmiaru krytycyzmu, który tak daje się we znaki twórczości rodzimej i inicjatywie na każdym polu. Bo zwalczać musimy słomiany ogień, odruchową ekspansję, ale cichy i skupiony entuzjazm, ów entuzjazm, co zaostrza wzrok i instrument pracy — jest naszym cennym sprzymierzeńcem. On bowiem — każe umiłować dzieło: nie mglistą wizję, ale krystalizującą się konstrukcję. Entuzjazm to może zbyt zacieśniony, zbyt drobnostkowy — ale zato nieomylny. Ten to entuzjazm każe ludziom zbierać kolekcje, hodować odmiany kwiatów, ozdabiać rodzime miasteczko — czynić życie głębszem, piękniejszem i milszem.

Cel bez środków jest fantomem lub frazesem, środki bez celu są narzędziami leżącemi w kącie. Dopasować jedno do drugiego w zakresie niewielkim cho-

ciażby — oto zadanie i wdzięczne i potrzebne. Poto jednak trzeba rozwinąć w sobie zmysł obserwacyjny i nauczyć się każdą myśl swoją oglądać w pełnem świetle dnia.

Mniej może będzie efektów, ale zato i mniej gorzkich zawodów, mniej zwichnięć i złorzeczeń ideałom. Rzeczy wysokie i dostojne pozostaną na swoich miejscach, my zaś, cierpliwie upiększający godziny codzienne, nieznacznie zbliżymy się do ich błękitnych kolisk.

LESZEK KONOPACKI

# PRZEGLĄD POLITYCZNY

Zamkniecie sesji. — Obojętność „obrońców parlamentaryzmu". O „rozprostowywaniu grzbietu". — Żałoba Rumunji. — Próba — rewolucji w Austrji.

NIEOCZEKIWANIE, bez jakichkolwiek prób poinformowania społeczeństwa o motywach tak nagłej decyzji, nastąpiło zamknięcie rozpoczętej zaledwie na trzy tygodnie przedtem sesji Izb prawodawczych. Zamknięcie sesji nastąpiło właśnie w tym okresie, gdy w Sejmie i Senacie przygotowywane było ostateczne rozstrzygnięcie spraw o dużem znaczeniu, przedewszystkiem reformy sejmowej ordynacji wyborczej i naprawy ustroju samorządowego. Raz jeszcze okazało się w sposób dla każdego widoczny, jaki zakres rzeczywistego wpływu na bieg wydarzeń pozostawiony został u nas ciałom parlamentarnym, w jaki sposób rolę polityczną tych ciał pojmują czynniki istotnie dziś w Polsce rządzące.

Wydawało się, że zamknięcie sesji ciał prawodawczych poruszy do głębi wszystkich sejmowych „obrońców parlamentaryzmu", że natychmiast (w myśl art. 25 Konstytucji) przynajmniej „$^1/_3$ część ogółu posłów" złoży Prezydentowi Rzplitej żądanie ponownego zwołania obu Izb w przeciągu najdalej dwóch tygodni. Wydawało się, że wszystkie stronnictwa polskie, niezależne od dzielących je różnic, zdecydują się wystąpić z jakąś wspólną deklaracją w obronie powagi Sejmu. Okazało się natomiast, że „opozycyjna" Polska Partja Socjalistyczna nie zgodziła się wogóle na jakiekolwiek wspólne wystąpienie stronnictw w tej sprawie, zaś pod żądaniem ponownego zwołania Sejmu i Senatu położyli podpisy... tylko członkowie klubu Związku Ludowo-Narodowego (100 posłów na ogólną liczbę 444). Kilka godzin poufnych narad wystarczyło, aby klub parlamentarny P. P. S. zaniechał myśli „utrudniania" rządowi położenia przez żądanie natychmiastowego zebrania ciał prawodawczych.

Dla „obrońców demokracji", radujących się z powodu „odzyskiwania przez Sejm poczucia własnej godności", wydarzenia te niewątpliwie stały się jednym jeszcze, bardzo nieprzyjemnym zawodem. Ale też raz wreszcie trzeba już zdać sobie sprawę z faktu, że Sejm, jako całość, nie posiada wcale jakiejkolwiek psychiki zbiorowej, jakiegokolwiek wspólnego wszystkim członkom „przedstawicielstwa Narodu" poczucia godności i odpowiedzialności ich stanowiska. Jest w Sejmie mniejszość, która wogóle nie potrzebuje „rozprostowywać grzbietu", bo nigdy go pod „bat" nie zginała, nie chodziła na herbatki, gdzie „bat świstał", i nie decydowała się na legalizowanie *ex post* przewrotu przez wybieranie na Prezydenta Rzplitej jego sprawcy. Ale nigdy też nie „rozprostuje grzbietu" człowiek, co ma kość pacierzową złamaną. Żaden gorset „doktryn demokratycznych", „uznawania systemu parlamentarnego za jedyny"—nie zastąpi w chwili decydującej kręgosłupa, jakim jest charakter.

W każdym razie fakty z dni ostatnich utwierdziły tylko w społeczeństwie przeświadczenie, że nie drogą taktycznych posunięć parlamentarnych wyjdzie Polska z obecnych trudności i niebezpieczeństw. W rezolucji, powziętej na ostatnim zjeździe Rady Naczelnej Związku Ludowo-Narodowego (dn. 24.VII r. b.) niema też nic z „taktyki", poruszono w niej zagadnienia podstawowe, najważniejsze: obrony polskości „wobec rozzuchwalenia się żywiołów niepolskich", obrony katolicyzmu „wobec stwierdzonej akcji planowej, dążącej do rozbicia życia religijnego w kraju", obrony państwa i życia społecznego przed rozkładem, jakim grozi „wzrost propagandy komunistycznej i siły organizacyj komunistycznych". Za największe niebezpieczeństwo chwili obecnej uznaje rezolucja „dążenie panoszących się dziś żywiołów do wysunięcia na czoło polityki materjalnych interesów poszczególnych grup społecznych i zabiegów o ich załatwienie, do utopienia w tych zabiegach wielkich celów i zadań polityki narodu". Natomiast zjawiskiem krzepiącem jest według tejże rezolucji „powstanie... Obozu Wielkiej Polski i szybki rozrost związanego z nim ruchu polityczno-narodowego żywiołów młodych". Słusznie bardzo stwierdza Rada Naczelna Związku Ludowo-Narodowego, że ten ruch właśnie pozwala „patrzeć z wiarą i otuchą w najbliższe jutro".

Dn. 20.VII r. b. zakończył życie Ferdynand I król Rumunji, którego roztropna, głęboką myślą kierowana polityka sprawiła, że w czasie rokowań, jakie nastąpiły po zakończeniu wojny światowej, państwo rumuńskie należało do grupy państw zwycięskich, a naród rumuński osiągnął konieczny warunek pełnego rozwoju swych sił — zjednoczenie. Na tronie rumuńskim zasiadł wnuk zmarłego monarchy, król Michał I, za którego, zanim dojdzie do lat, rządzić będzie Rada Regencyjna, złożona ze stryja królewskiego, ks. Mikołaja, patrjarchy cerkwi rumuńskiej i pierwszego prezesa sądu apelacyjnego.

Dnia 15 i 16 z. m. doszło w Wiedniu do krwawych walk ulicznych, wywołanych próbą rewolucji komunistycznej. Rządowi z trudem udało się opanować sytuację, ofiary w ludziach wyniosły kilkudziesięciu zabitych i kilkuset rannych. Jest faktem znamiennym, urastającym niemal do znaczenia symbolu, że socjalistyczny „gniew ludu" zwrócił się w Wiedniu przeciw dwum przedewszystkiem, najbardziej znienawidzonym „twierdzom reakcji"... Były niemi: ministerjum sprawiedliwości i uniwersytet.

J. R.

# NAUKA I LITERATURA

## DZIEŁO TADEUSZA GRABOWSKIEGO

TEORJA badań literackich cieszy się dziś na Zachodzie wielkiem zainteresowaniem, przyczem chodzi o to, by literaturę, jako przedmiot naukowych badań ująć z właściwego punktu widzenia, oraz badania same pogłębić. Wydoskonalają się więc i same metody badań literackich i rozwijają się nauki pomocnicze, jak poetyka, stylistyka i t. d.

Nauce polskiej daleko do tego silnego i żywego ruchu, a przyczyna tkwi nie w braku odpowiednich umysłów, lecz w ciężkich warunkach, w jakich nauka nasza się znajduje. Kto ułatwi uczonemu dłuższą, spokojną pracę, kto wyda jego książkę i kto ją kupi?

W tych ciężkich warunkach należy się cieszyć z tego, że przynajmniej niema u nas na tem polu zupełnego zastoju. Ostatnio zagadnieniami krytyki zajmowali się Kridl i Łempicki, a niektóre kwestje z teorji literatury oświetlał Kleiner. Wreszcie G. Korbut dał „Wstęp do literatury polskiej", pracę bardzo sumienną, która ma przedewszystkiem dużą wartość praktyczną, podobna pod tym względem do Rudlera: „*Les techniques de la critique et de l'histoire littéraires*".

Nieliczny ten poczet studjów wzbogaca doskonała praca prof. Pozn. Uniw. Tadeusza Grabowskiego p. t. „Wstęp do nauki literatury" *). Autor, jako znakomity znawca naszej krytyki w jej dziejowym rozwoju, był do tego najzupełniej powołany. Posiada nadto rozległą kulturę literacką, subtelny smak, szeroki widnokrąg umysłowy i rzadkie oczytanie. Humanista w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu zdobył się na właściwe mu dzieło, oparte na własnej praktyce i studjach w zakresie filozofji, estetyki i socjologji.

Nowoczesność swego stanowiska zaznaczył prof. Grabowski już w samym tytule książki. Jest to wstęp do nauki literatury, która obejmuje nietylko historję literatury i krytykę, ale także szereg nauk pomocniczych. Podstawą i głównem kryterjum jest dlań życie. Dzieła literackie są te, w których tai się pragnienie samowyrażania się. O ich sile i wartości decyduje osobowość, przejawiająca się w szczerości i bezpośredniości. Stosunek literatury do nas, jako rzeczywistości nad rzeczywistością, ustala i reguluje historja literatury i krytyka; jedna jest więcej nauką, a druga sztuką, pozaczem granica między niemi jest płynna.

Ustaliwszy te kryterja, w następnych rozdziałach omawia autor poszczególne zadania nauki literatury. Najpierw podkreśla znaczenie osobowości w literaturze i omawia kierunek, szukający przeżyć w utworze. Z tem wiąże się zagadnienie, jak badać treść i formę w dziele, które stworzyła osobowość twórcza. Tu trzeba wiedzieć, czem jest forma, czem różni się od tworzywa i techniki, oraz jak przez nią dochodzi się do życia.

Rozdział III określa historję literatury i omawia jej część pierwszą, bibljografję. Za każdym artystą stoi system nieosobowych sił społecznych, z któremi trzeba się liczyć. R. IV poświęcony krytyce socjologicznej ukazuje na szeregu przykładów wpływ różnorodnych czynników na literaturę. R. V omawia zasady krytyki literackiej i ustalenie tekstu. Krytyka wymaga specjalnego talentu, praktyki, wykształcenia, dając tę intuicję artystyczną, która krytyka wyróżnia od amatora. R. VI podaje krótki, ale zwięzły i subtelny szkic psychologji i socjologji tworzenia. Poezja wyrasta z życia, dzięki twórcy staje się obrazem, widzialnością, bo genjusz jest instynktem życiowym. Równocześnie ma ona charakter społeczny, bo treść sztuki jest wyższą formą towarzyskości i ogólnej sympatji. Rozdziały następne traktują o krytyce genetycznej, stylistyce i poetyce, gdzie autor poglądom starym przeciwstawia poglądy nowe.

Książka prof. Grabowskiego została pomyślana przedewszystkiem jako podręcznik uniwersytecki. Różni się jednak zasadniczo od zwykłego szablonu. Obawialiśmy się, że utoniemy w morzu suchych formułek, dat, definicyj i t. d. Tymczasem autor sprawia nam prawdziwą niespodziankę, wprowadzając nas w atmosferę szczerze filozoficzną. Przesiąknięta tym filozoficznym duchem, pełna głębokich myśli i subtelnych spostrzeżeń, książka prof. Grabowskiego odda duże usługi specjalistom, zachęci do dalszych badań i w ręku szerszej publiczności przyczyni się do głębszego patrzenia na literaturę.

HENRYK ŻYCZYŃSKI

*) Lwów, 1927. Nakład Jakubowskiego.

## ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Świat dziennikarski we Lwowie zgotował owację jubileuszową zasłużonemu i prawemu koledze („Słowo Polskie"), Władysławowi Szenderowiczowi. Na bankiecie koleżeńskim jubilat między innemi powiedział te słowa: „Dobrą opinję zawdzięczam tym, pod których kierunkiem i z którymi pracowałem i pracuję. W r. 1902, a więc przed ćwierć wiekiem wydawnictwo „Słowa Polskiego" objął po Szczepanowskim ś. p. Wolski, a redakcję Zygmunt Wasilewski. W skład redakcji wchodzili tacy ludzie jak: Popławski, Hłasko, Kasprowicz, Dmowski i w. in. I wówczas w duszy i sercu mem, młodzieńca jeszcze, nastąpił przełom. Ci panowie nauczyli mnie nietylko pisać, ale myśleć po polsku. I nie jest to paradoks, bo dotychczas w Galicji pisało się, ale nie myślało po polsku. Wskazali, że poza Galicją, poza którą nie wychodziło dziennikarstwo lwowskie, znajdują się inne dzielnice, które zjednoczyć należy. A ja, patrząc na ich trudy i pracę, schylałem przed nimi czoło i hołd im składałem. Owoce ich posiewu zbieraliśmy w r. 1918".

*

Zarząd m. Lwowa przeznaczył dla wybitnych literatów dwie nagrody po 5000 zł. Za rok 1927 otrzymali je p.p. Michał Rolle i Stanisław Rossowski, obaj wierni Lwowu dziennikarze. Pierwszy z nich zasłynął w literaturze jako historyk (idąc za ojcem „dr. Antonim J."), a drugi jako poeta.

*

„Wieczory poetów Czartaka" odbyły się w Szczawnicy dn. 23, a w Krynicy 24 lipca b. r. Odczytali na nich swe najnowsze utwory: Janina Brzostowska, Zofja Kossak-Szczucka, Józef Birkenmajer, Edward Kozikowski, Tadeusz Szantroch i Emil Zegadłowicz.

## Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Za mało wiemy o prywatnem, domowem życiu naszych wielkich ludzi minionych czasów. Od rozbiorów kraju nie stać było społeczeństwa na kwietyzm, w którym by dało się notować rozmowy i wrażenia z towarzyskich czy rodzinnych stosunków z wybitnemi osobistościami. A jeśli już ten ktoś wspominany nie zajmował naczelnego stanowiska w ruchu zbrojnym, czy wogóle politycznym, poeta, malarz, muzyk, to i życia jego współczesne, dość zresztą liczne, pamiętniki nie utrwalały. Garść listów i przygodnych amatorskich rysunków, oto wszystko, co z niepamięci na jaw zniknioną z oczu postać dobyć i w szaty legendy stroić było zdolne. Dlatego ogół tak nikłe ma wiadomości o Norwidzie i Malczewskim. Do niedawna też niewiele, więcej wiedziano o Fredrze.

Dopiero p. Adam Grzymała - Siedlecki dał w swych studjach Fredrę żywego. Studja te, ogłaszane urywkami w dziennikach, a z niepojętych powodów po dziś niewydane w osobnej książce, ukazują Fredrę, oficera, ziemianina i pisarza na tle wojennej zawieruchy, na sielskiem tle wsi w Małopolsce i gwaru Lwowa, w którym życia dokonał. Dzieła komedjopisarza, gdy Siedlecki odtwarza atmosferę, w której powstawały, nabierają nowego blasku i wstrząsają wyobraźnię świeżym tętnem serca.

Zawsze jednak jest czas i miejsce na uzupełnianie żywota wielkich duchów wspomnieniami, choćby drobiazgowemi. Wspomnienia wnuczki i syna, zawarte w miłej książce p. Marji z Fredrów Szembekowej „Niegdyś... wspomnienia moje o Aleksandrze Fredrze", z przedmową Adama Grzymały - Siedleckiego nazwiska z historji bitew i zdarzeń dziejowych, okruchy powiedzeń, kartki listów, kilkanaście rycin z rysunków i akwarel, są ważkim przyczynkiem dla poznania okoliczności, towarzyszących ostatnim dniom naszego komedjopisarza. Zdają się go ku nam zbliżać i pozwalają nam w jasnem życiu jego, poety-rycerza, się rozmiłować.

*

Stanisław Wasylewski ogłosił nowy tom swych szkiców. Tym razem z epoki napoleońskiej („Zerwana kokarda" Wydawnictwo polskie. Poznań—Lwów 1927). Zajmuje się dziejami miłości Napoleona i Marji Walewskiej, losami syna jej i Napoleona, hr. Aleksandra Walewskiego, dalej nieszczęśliwem „Orlątkiem" (ks. Reichstadtu, Napoleonem II) wreszcie paru anegdotami historycznemi. Jedną—posępną o Naczelniku Kościuszce, drugą—humorystyczną napozór, ale w gruncie też niewesołą o Izydorze Lehmanie, dostawcy armji Napoleońskiej, który jest wszędzie, bo umie urządzić się wszędzie i złączony jest nierozerwalnie z polską legendą.

Sylwetka p. Walewskiej, skreślona świetnem piórem Wasylewskiego, robi na nas wrażenie wysoce sympatyczne. Była to natura głęboko poważna i uczciwa, która na krok swój zdecydowała się z pobudek patrjotycznych, gdyż i cesarz i otoczenie wmawiali w nią, że swem poświęceniem przyczynia się do odbu-

dowania Ojczyzny. A potem już przyszła prawdziwa miłość, kążąca jej odwiedzać cesarza nawet i na Elbie.

*

W wydawnictwie Zakładu Narodowego im. Ossolińskich ukazało się dzieło Jana Szczepańskiego p. t. „Kultura klasyczna w zarysie“. Jest to ze względu na treść i pojemność encyklopedja podręczna do znajomienia się z kulturą antyczną w głównych jej przejawach. Cel i potrzeba takiego wydawnictwa znajduje swe uzasadnienie w tem, że nasza spółczesna kultura wyrosła z klasycznego podłoża i cały szereg objawów spółczesności znajduje swe odpowiedniki w świecie rzymskim i greckim. W szczególności w nauce łaciny możemy znaleźć całe mnóstwo związków z językami żywemi i uwzględnienie tego faktu przy nauczaniu języków starożytnych jest jednym z elementarnych dzisiaj postulatów dydaktycznych. Autor oparł swą pracę na najpoważniejszych pracach w tym zakresie. Treścią swą obejmuje ona całokształt kultury klasycznej od doby mikeńskiej aż do końca świata starożytnego.

W zarysie literatury prócz autorów najbardziej znanych w programach szkolnych, są omówieni i pomniejsi pisarze. Prócz tego krótkie ustępy omawiają formy literackie i poszczególne nauki. Z kolei sztuka traktuje się zwięźle lecz wyczerpująco w jej rodzajach: architekturze, rzeźbie, malarstwie i innych. Obfite ilustracje są tu szczególnie pomocne. W zakresie religji przedstawiony jest świat wierzeń wraz z kultami.

W zakresie życia prywatnego mamy dane o stosunkach rodzinnych, małżeńskich, wychowaniu dzieci i młodzieży, mieszkaniu, strojach, zabawach i pracy codziennej.

W życiu publicznem książka omawia stosunki polityczne i społeczne, sprawy wojskowości, sądownictwa i gospodarki państwowej, handel i t. d.

Skorowidz ułatwia orjentację w tym ogromnym materjale, tak cennym dla każdego kto ma kontakt z kulturą klasyczną, a ludzi takich jest coraz więcej u nas.

*

P. Janusz Stępowski ogłosił niedawno broszurę p. t. „S. O. S. Prawda o Tadeuszu Since“ (Kraków 1927). Młody i utalentowany autor zestawił w tej broszurze plagjaty p. Tadeusza Sinki, profesora literatury greckiej w Uniwersytecie Jagiellońskim, a równocześnie recenzenta „Ilustrowanego Kurjera Codziennego“ w Krakowie. Plagjaty te, (jak to już w Nr. 30 w roku 1926 wykazała „Myśl Narodowa“, a na co między innymi powołuje się p. Stępowski) były bardzo bezceremonjalne. Szczęściem, że choć zakwitły pod bokiem krakowskiej *Almae Matris* i Akademji to jednak nie w jej poważnych publikacjach, ale w wiele pośledniejszych, w „Il.K. C.“ „Czasie“ i w warszawskich „Wiadomościach Literackich“.

Coś nie coś afera ta, osłoniona w togę i biret profesora, przypomina nieporównaną, satyryczno-fantastyczną powieść starego Daudet'a o członkach Akademji Francuskiej p. t. „Nieśmiertelny“ U nas są te plagjaty profesorskie zdarzeniem, na szczęście zupełnie odosobnionem.

## U SŁOWIAN

Istniejące w Sofji od 6 lat „Stowarzyszenie kulturalnej jedności młodych Słowian“ przystąpiło do wydawania własnego czasopisma p. n. *„Sławjansko Ogniszte“*. Pierwszy numer tego czasopisma przedstawia się wcale pokaźnie (20 str. in 4-o). Zawiera: „Drodzy Bracia!“, (W. J. Stefczew) — Jak należy pracować dla wzajemnośc słowiańskiej (S. S. Bobczew)—Pierwszy warunek jedności słowiańskiej (N. Bobczew), Młodzieży słowiańskiej (po ros., W. Ł-skij), Hymn (K. Dimitrow)—Nieginąca idea (po małorus., J. M. Orłow), Uświadomienie słowiańskie (po czesku, J. Charous) —„Kochani bracia słowianie“ (po polsku, K. Hoffman)—W jedności siła (W. Müller, po czesku) — Słowianin—Słowianom (wiersz ros. S. Pospiechowa), Sen czy konieczność (G. S. Birinski), Uroczystość ku czci budzicieli narodu (wiersz F. Tomicza), Młodym Słowianom w Bułgarji (A. Mussewicz-Borikow). Nadto szereg poezyj, z pośród których z treścią i nastrojem zeszytu godzi się jedynie hymn króla Mikołaja czarnogórskiego *„Onam! onamo!“*, na końcu listy i telegramy gratul. —Nastrój treści całego zeszytu, nader zresztą niejednolity tchnie silnem poczuciem panslawizmu, niekiedy zbyt prorosyjskiego. Początkowe zwłaszcza artykuły są nader interesujące wogóle.

*

Zagrzebski tygodnik polityczny *„Słobodna Tribuna“* przynosi w jednym z ostatnich swych numerów (716 z dn. 1! czerwca b. r.) m. in. ciekawy artykuł p. t. Związek państw słowiańskich. Jest to treść odczytu wygłoszonego przez Bułgara p. Kapczewa. Prelegent podkreślił zrazu konieczność ścisłej solidarności państw słowiańskich „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego“ na polu politycznem, następnie zaś przedstawił szkic zasad na jakich oprzeć miałaby się przyszła federacja wolnych i równouprawnionych państw słowiańskich. Równouprawnienie to polegałoby m. in. i na tem, że obywatel n. p. polski miałby w Rosji czy Czechach prawa zupełnie równe z obywatelem rosyjskim czy czeskim. Stwierdził dalej p. Kapczew gorącą dążność narodu bułgarskiego do utworzenia wraz z Serbami, Chorwatami i Słowieńcami jednej wielkiej Jugosławji.

*

Ukazał się, ze znacznem tym razem opóźnieniem, podwójny numer 4-5 miesięcznika praskiego *„Slovansky Prehled“* za miesiące kwiecień i maj. Przynosi następujące artykuły: Starożytności Słowian połudn. i ich doniosłość naukowa (N. K. Okuniew) — Dzieło J. N. Czirikowa (J. Hostovsky)—Car Symeon (F. Hybl)—Polska a wojna światowa (E. Janousek, dokończ.) — Tematy słow powieści polskiej (V. Dresler) — Literatura Serbskochorwacka po wojnie (c. d., D. Prohaska). Nadto przegląd polityczno-kulturalny i ekonomiczny życia poszczególnych narodów słowiańskich, oceny i bibljografja. — Studjum hist.-polit. Janouska przedstawia rok 1918 na ziemiach polskich oraz akcję komitetu na Zachodzie. Godny uwagi jest wym. artykuł Dreslera. przedstawiający wyczerpująco słowiańskie motywy u szeregu polskich powieściopisarzy (T. T. Jeż, M. Czajkowski, K. Tetmajer, T. Miciński, St. Żeromski, W. Rapacki, J. Bandrowski, J. Rogosz, W. Sieroszewski i in.). Studjum temu można zarzucić brak przejrzystości, ale w każdym razie posiada ono dużą wagę jako pierwsza tego rodzaju praca.

*

Wychodzący również w Pradze od kilku tygodni, rosyjski tygodnik *„Centralnaja Jewropa“*, acz w zasadzie polskiemi sprawami się nie zajmuje, przynosi z każdym n-rem coraz więcej polonik. Zwłaszcza godne uwagi są zamieszczone w n-rze 2 i 3 tego tygodnika artykuły o stosunkach gospodarczych polsko-jugosłowiańskich. Przytoczone jest tam, że dotychczas stosunki te były nader nikłe, Polska eksportowała do królestwa SHS zaledwie niecały 1% swego eksportu, i odwrotnie wywóz jugosł. do Polski wynosił coś ponad 1% całego eksportu jugosł.

*

Piąty, majowy, numer miesięcznika francuskiego *„Le Monde Slave“* przynosi szereg nader interesujących studjów: W głównej kwaterze rosyjskiej (Gen. Janin), Lamartine w Bułgarji (I. Sziszmanow), Restytucja niepodległości Polski (K. Smogorzewski), Moje wspomnienia V (A. Wasilew), Kościół prawosławny emigracji rosyjskiej (G. Makłakow). W dziale dokumentów trzy zbiory dotyczące Unji Sowieckiej. — Artykuł p. Smogorzewskiego, opisujący — dosyć powierzchownie — działalność nad odnowieniem państwa polskiego bezpośrednio przed wojną i w czasie wojny, stara się o bezstronne traktowanie sprawy, nie mniej jednak broni taktyki krakowskiego NKN'u.

## Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

P. Paweł Chack, oficer marynarki, autor *„On se bat sur mer“* wydaje obecnie *„Sur les bancs de Flandre“ (Editions de France)* bardzo piękną książkę, w której stylem prostym, ale wzruszającemi słowami opisuje bohaterskie życie marynarzy, walczących podczas wojny przeciwko łodziom podwodnym. Jedynie marynarz mógł z równą dokładnością oddać różne fazy walk stoczonych, ale jest on zarazem i pisarzem o dużym talencie, który przeżył na ciężkim posterunku tragiczne chwile i uważa, że Francuzi nie powinni zatracać poczucia wartości odniesionego zwycięstwa.

*

P. Piotr Frederix posiada jeden z ogromnie cennych darów, a mianowicie zdolność wytworzenia atmosfery, nastroju. Dzięki też temu wielkiemu darowi, lektura jego powieści *„L'Ange et la Couronne“* (Calmann-Lévy édit.) pociąga i przykuwa uwagę czytelnika. *„L'Ange et la Couronne“* to banalna restauracja londyńska. w której zbiera się kilka osób, a między innemi psychjatra, studjujący deformacje osobowości, Dan Phillimore, stary kapitan marynarki, służąca Maisie, oraz jakiś tajemniczy Chińczyk, którego rodzina oraz majątek zostały zniszczone przez marynarzy i statek, którym komenderował Dan Phillimore. Maisie żyje poprostu opowiadaniami tego ostatniego. Ale Chińczyk mści się i tak silnie uderza kapitana w czoło, że tenże traci pamięć. On też stanie się teraz mistrzem opowieści i zdobędzie serce Maisie, Ale oto, dnia pewnego stary marynarz dusi Chińczyka i odzyskuje po części pamięć i sympatję służącej. Skomplikowany ten problemat psychologiczny oddał autor z dużą subtelnością.

*

*„Une petite fille comme ça“* (Ferenczi édit.) to może najlepsza powieść p. Łucji Delarue-Mardrus. Roksana jest córką wędrownych aktorów, której cały horyzont życia ogranicza się do sceny i kostjumów. gdyż od najmłodszych lat występowała już jako aktorka. Manon, matka Roksany w napadzie zazdrości strzela do swego męża, nie uśmierca go, ale każde z rodziców pójdzie swoją drogą, podczas kiedy Roksana umieszczoną jest w pensjonacie, gdzie z „gwiazdy“ staje się pogardzanym

kopciuszkiem. Aż wreszcie nieszczęśliwe dziecko zabierze do siebie stara nieczuła ciotka i zrobi z byłej aktorki zwykłą wieśniaczkę. Wdziękom Roksany nie oprze się jednak malarz Vauquier i poślubi ją. Dramat sierocego życia przeprowadziła autorka z głęboką znajomością psychologji dziecięcej.

*

P. Gerard d'Houville, która jest, prawdziwą żoną znanego pisarza francuskiego Henri de Regnier wydaje „*Je crois que je vous aime*". Są to przysłowia w liczbie siedmiu, owiane poezją prawdziwą właściwą talentowi autorki.

*

Po ciekawych pamiętnikach z życia współczesnych pisarzy i malarzy przed wojną, jakie stanowi książka Francis Carco p. t. „*De Montmartre au Quartier Latin*" publikuje on teraz „*Rue Pigalle*", w „*Mercure de France*", gdzie zresztą wyszła, dzięki Rachildzie pierwsza jego powieść.

## NOWE KSIĄŻKI

Z. L. Zaleski. Jules Słowacki. Ouvrier de Dieu. Paris 1927. „Mercure de France". Str. 19.

Zygm. L. Zaleski. Rola wyobraźni w twórczości naukowej. (Nauka Polska t. VI). Str. 22.

Mieczysław Skrudlik. Legenda o Sewerynie Żydowinie, czcicicielu Najś. Panny Lwów - 1927. „Gaz. Kość. Str. 23.

Mieczysław Skrudlik. Historja obrazu i kultu N. M. P. Ostrobramskiej. Wilno 1927. J. Zawadzki. Str. 52 z ilustr.

Le Monoe ślawe. Paris 1927 mai.

Le Corespondant. Paris 1927, juin.

Jerzy Pogonowski. T. G. Massaryk. Studjum. Warsz. 1927. T. Hoesick. Str. 65.

E. Nesbit. Przygody młodych Bastablów, 2 części. Powieść (dla młodzieży). Warsz. 1927. Tow. Wydawn.

Włodz. Godziszewski. Dla Polski. Miejsce-Piastowe (1927). Str. 62 (min.).

La Pologne. Paris 15 mai 1927.

Kaz. Kalinowski. Gwiazd zawierucha. Poznań 1927. (Poezje).

Kleszczyński Zdzisław. Czerwony teatr. Literatura z lancą. Warszawa. Bibljoteka Dzieł Wyborowych.

Kozerski Adolf Dr. Med. O ładzie i nieładzie w dziedzinie płciowej. Warszawa 1927. Nakładem autora.

## NA MARGINESIE

W półurzędowej „Epoce" p. Wassercug ze świętem oburzeniem rozpisuje się o skrępowaniu wolności słowa... w Rosji Sowieckiej. „Literatura rosyjska straciła wolność. Jest umęczona tyranją. Wolno jej mówić tylko to, na co pozwala cenzura". Dzisiejszą Rosję porównywa p. Wassercug do więzienia, w którem osadzono Wolne Słowo" (przez wtelkie „W" i wielkie „S").

O, epoko — sanacji! O, „Epoko"! jakże wrażliwe jest liberalne sumienie „sanatorów", jeśli chodzi o obronę wolności słowa... w Rosji Sowieckiej!

*

Ciemne tło chmur politycznych, właśnie w dniu odroczenia parlamentu, przerwał niby jasny promień słońca, uśmiech losu dla literatury. Trzej literaci uzyskali audjencję u prezesa ministrów p. Piłsudskiego, aby mu przedstawić potrzebę utworzenia Akademji Literackiej. Pod nieobecność w Warszawie — jak donoszą dzienniki—pp. Struga, Przesmyckiego i Sieroszewskiego stawili się na konferencję pp. Oppman, Staff i Dębicki. Głównym postulatem świata literackiego jest uzyskać statut Akademji przyznający członkom stałą pensję państwową. Rząd ma zamianować pierwszych 12 członków, a ci będą dalej kooptować do 30. Dzienniki donoszą, że na wspomnianej konferencji udało się ustalić tylko jedno, że prezesem Akademji będzie sam premjer Piłsudski. A nowe zasady organizacji ustalone być mają w porozumieniu z ministrem oświaty dr. Dobruckim ze Stanisławowa. Ogólne budzi zainteresowanie, czy w obozie sanacyjuym znajdzie się 30 literatów, godnych tak wysokiego stanowiska.

*

„Sanacji moralnej" bardzo niedogodna jest odwieczna zasada autonomji uniwersytetów. W tygodniku „Głos Prawdy" (№ 201) jakiś pan P. w artykule p. t. „Autonomja wyższych uczelni, a interes państwowy" wypowiada opinję, że o doborze słuchaczy na wszechnicach decydować winni nie profesorowie ale... władze rządowe, ci zaś, co bronią niezależności senatów akademickich „są wrogami prawdziwej demokracji wyższych uczelni, udostępnienia jej szerokim warstwom pracującym".

Według pana P. interes państwowy cierpi dzisiaj głównie z tego powodu, „że są jednostki, które i w wyższych uczelniach działają pod kątem partyjnictwa" i starają się utrudnić do nich dostęp „pewnym słuchaczom"... ze względu na ich narodowość. „...Czy prawdziwy mąż nauki"...—woła pan P.—„przy wykładzie przedmiotu myśli o tem, do jakiej narodowości należą jego słuchacze?"

Nic równie zabawnego, jak p. P. w „Głosie Prawdy", wyobrażający sobie, że może wiedzieć, co myśli „prawdziwy mąż nauki"! Ale, doprawdy, nic równie przejmującego troską i niepokojem, jak losy kraju urządzanego według pomysłów pana P. !

*

W „czerezwyczajce" nazwanej „Głosem Prawdy" między zachwytami nad „perjodyką" sowiecką, notatkami o literaturze żydowskiej, entuzjastycznem sprawozdaniem z książki Barbusse'a o Jezusie znajdujemy (nr. 194) terorystyczne wprost posunięcia w celu wymuszania pieniędzy dla sanacyjnych literatów. Jest tam apostrofa z pogróżkami pod adresem wojewody kieleckiego za to, że jego referent budżetów samorządowych ośmielił się kwestjonować pozycję 5.000 zł., wypłaconych przez miasto Sosnowiec p. A. Strugowi (Skądże ta nagroda? — nie słyszeliśmy o niej dotąd). Sytuacja wojewody istotnie jest groźna. Referent budżetowy zapewne nie wiedział, że Strug jest mistrzem loży Wielkiego Wschodu Polskiego.

W tymże numerze „Głosu Prawdy" urządzono napaść na sekcję V magistratu m. Lwowa za przyznanie nagród pp. St. Rossowskiemu i M. Rollemu. „Głos Prawdy" utrzymuje, że nagrody te powinni byli dostać (?) profesorowie uniwersytetu Stan. Zakrzewski i Juljusz Kleiner. Magistrat lwowski miał pewno na myśli „chudych literatów" Krasickiego. Ani się spodziewał, że narazi się sanatorom. Czyżby Kaden-Bandrowski i we Lwowie chciał gospodarować?

*

Na ostatnim zjeździe „*Pen-Club*'ów" w Brukseli, jak donoszą „*Nouvelles Litteraires*", delegat pisarzy żargonowych („*viddish*") z Polski domagał się, aby w Warszawie założono osobny „*Pen Club*" żydowski. Wniosek ten upadł, uchwalono natomiast rezolucję, zalecającą, aby w Warszawie i w Wilnie pisarze żargonowi przyjmowani byli do „*Pen Club*'ów" narówni z pisarzami polskimi. Rezolucja pominęła zupełnie kwestję, czy po przeprowadzeniu tej reformy językiem obrad Polskiego Klubu Literackiego pozostałby po dawnemu język polski, czy też przeciwnie język polski i żargon („*viddish*") zostałyby w życiu wewnętrznem organizacji równouprawnione.

Dla tych, którzy nie mogliby zrozumieć, w jaki sposób delegat polski na kongresie mógł dopuścić do uchwalenia tak skandalicznego wniosku, dodajemy informację, że delegatem tym był p. Leon Pomper (niedawno zmienił nazwisko na „Pomirowski")

*

Omawialiśmy niedawno wielką księgę, owoc prac naszej propagandy p. t. „*Pologne Contemporaine*". Zawiera ona portrety, biografje i charakterystyki naszych dyplomatów, wojskowych, uczonych i t. p.

Na pierwszej stronie tego wydawnictwa, które zresztą ma wiele zalet... prosimy zgadnąć — kto? Wydawałoby się, że p. Prezydent Rzeczypospolitej? Tak nakazywałoby oficjalność wydawnictwa, specjalny jego charakter i obowiązujaca przyzwoitość. Są jednak widać jakieś inne, wyższe względy. P. Mościcki stoi sobie skromnie na str. 3, p. Piłsudski nawet na jakiejś 10-tej; na 1 błyszczy znakomity dyplomata p. Karol Bader, już jako młodzieniec pełnoletni trzymany do chrzutu przez p. Jana Kucharzewskiego, który jeśli zajmuje czem pierwsze miejsce w Rzeczypospolitej, to częstotliwością swoich religijnych przyżyć. Ale w podanej biografji te interesujące szczegóły nie są przytoczone. Czyż niema nikogo w Rządzie, nikogo w M. S. Z. ktoby powściągnął podobną nachalność? Niechby zdarzyło się coś podobnego we Włoszech! Co prawda ani we Włoszech, ani gdzieindziej nic podobnego zdarzyćby się nie mogło. „*Pologne contemporaine*" pozostanie pod tym względem unikatem.

## ODPOWIEDZI REDAKCJI

*P. J. Chankowskiemu w Sokolnikach.* — Serdecznie dziękujemy za zwrócenie uwagi na cenny cytat, przyczyniający się do wszechstronnego oświetlenia tej istotnie doniosłej kwestji. Do omawiania ogólniejszego tych zagadnień jeszcze nieraz będziemy powracać.

*P. C. M. w N.* — Żali się Sz. Pan, że przestaliśmy wysyłać „Myśl Narodową", chociaż Pan „tylko przez cztery miesiące zalegał w płaceniu prenumeraty". Zaleganie takie, wynikające tylko z zapomnienia, bardzo utrudnia administracji pisma jej pracę. Wstrzymane egzemplarze „Myśli" już wysłaliśmy.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 6, rocznie zł. 24, za granicą kwart. zł.9. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Duk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM